

*Wahk over*

# ATENEVM

Kurca młoda dla kobiet  
M. A. S. re-żackiego  
w Krakowie Kameloka 33



VII

1904

Lipiec 1904.

## TREŚĆ.

---

I. NAL I DAMAYANTI . . . . .	przekład <i>Ant. Langego</i> . . . . .	3
II. CHORA WIEŻA . . . . .	przez <i>F. Jabłczyńskiego</i> . . . . .	7
III. LINIE HOFERA . . . . .	„ <i>Jana Zarycza</i> . . . . .	22
IV. PRZEGLĄD MIESIĘCZNY . . . . .		30
1. „Z jednego strumienia“ . . . . .	„ <i>Cezarego Jellentę</i>	
2. Zygfryd Wagner . . . . .	„ <i>Euzebiusza.</i>	
V. BIBLIOGRAFIA . . . . .		49
VI. ODPOWIEDZI OD REDAKCYI . . . . .		50





# ATENEUM.

WARSZAWA.

ROK II. TOM III. — ZESZYT VII.

||PIEC 1904.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Децбря 1904 года.

K. 2594/61

## Nal i Damayanti.

W r. p. *Ateneum* dało I–V pieśń poematu indyjskiego „Nal i Damayanti”. Dajemy obecnie pieśni XI–XII tegoż poematu. Nal żył długi czas szczęśliwy z żoną swoją gdy naraz go opętał zły duch (kali), pod którego wpływem Nal przegrał w kości do swego brata całe swoje mienie i królestwo — i ogołcony ze wszystkiego, wyrusza w drogę na pokutę, wraz z żoną. Po drodze jednak (Pieśń X) znów pod wpływem złego ducha żonę opuszcza, pozostawiając ją samotną w niezmierzonej puszczy. Pieśni XI–XII stanowią jakby lamentację opuszczonej Damayanti.

### Pieśń XI.

A kiedy odszedł radża Nal, Waidarbia rzuci swoje łoże,  
Z długiego przebudzona snu, trwogą przejęta w pustym borze.  
Nie widząc zasię, gdzie jest mąż, wielce się w duchu swym

[rozząła —

I w przerażeniu wyda krzyk: — O królu! tak przyzywa Nala.  
— O mój obrońco! królu mój! O panie, gdzieś-ty, gdzie, o drogi!  
Zabitam ja, zniszczonam ja, w tym pustym lesie pełnam trwogi!  
Nie jest-żeś, królu, jakoś był, wyznawca prawdy, sługa praw?

Jak tedy rzekłszy do mnie: Tak! tyś mnie opuścił? Zjaw się,  
zjaw!

O powiedz, jak-eś mógł iść w dal, prawą małżonkę porzuciwszy,  
Która zaiste jest bez win? Ktoś tu winniejszy, niepocziwszy  
Czy mógłbyś zmienić słowa swe i rzec mi insze słowa, panie,  
Niż to coś do mnie wtedy rzekł, gdy stali wobec nas niebianie?  
Nie poza czasem jest nam śmierć postanowiona, ludzki lwie!  
Bo, gdyś kochankę rzucił swą, ona bez ciebie schnie i mrze!  
Lecz dosyć żartu, radźo, dość! Ty byku ludzki, sługo praw:  
Patrz, duszę moją więzi strach! Słuchaj, o panie, zjaw się, zjaw!  
O królu dobry — patrz — o — patrz! Ja widzę cię — o! — tam!

Naiszada —

Ukryty stoi w cieniu drzew, o, czemuż mi nie odpowiada?  
O, biada, radźo! o, to grzech — że mnie, com przyszła w te  
gęstwiny,

Mnie zrozpaczoną, mnie bez sił — ty nie pocieszysz, o jedyny!  
Ja nie nad sobą płaczę już, ach! nie boleję już nad niczem —  
Lecz ty co zrobisz, będąc sam: ja płaczę nad swym królewiczem!  
Jakże spragniony, królu mój, jakże zgłodniały i znużony —  
Wieczorem u korzeni drzew uśniesz, nie widząc swojej żony?  
Wreszcie od strasznych blada mąk i niepokojem gorejąca,  
Jęła wylewać gorzkie łzy, biegając tam i sam bez końca.  
Już to więc biegnie tam i sam, już to upada od goryczy;  
Już ją przejmuje sztywny strach, już to niemieje, już-ci

[krzyczy.

I przepalona smutku łzą — powoli dysze skołatana —  
I woła, woła znów a znów, drząc, Damayanti — swego pana.  
— Ha, ten przez czyją złość i gniew w nieszczęście popadł wielki  
[król,  
Temu, co naszym bólem żyw, niech stokroć większy przyjdzie ból.  
Kto złego ducha tchnął weń — zły, że w klęski popadł wielki  
[król:  
Niech bez radości żywot ma, niechaj ma stokroć większy ból,

Tak płacze pani ta i klnie małżonka szlachetnego króla:  
 I myśli, dokąd ruszył mąż w bór, gdzie tysiące bestyj hula.  
 I jakby ją opętał szal, tak płacze gorzko wciąż a wciąż:  
 Bhaimi! znów biegnie, woła znów: gdzie Nal, gdzie król mój,  
 [gdzie mój mąż?

A gdy tak cała tonie w łzach, jak gdy samotna huka mewa:  
 Nagle ją, pełną dusznych trosk i wycieńczoną — z wierzchu  
 [drzewa,

Gdy oto stanie mu u stóp, idąc w pobliżu jego drogi:  
 W gwałtowny uścisk chwyci wąż — głodny, olbrzymi potwór  
 srogi.

Ta, gdy ją w uścisk chwycił wąż, zgorzkniała, pełna troski bladej:  
 Nie swej zagłady płacze już, jako żałuje więc Naiszady!  
 O biada — patrz — obrońco mój, jak mnie bezsilną straszny  
 [zwierz

Porwał w żarłocznych objęć zwój: spiesz, na ratunek spiesz.  
 [o, spiesz!

Jakże na świecie będziesz żył, skoro przypomnisz mą zagładę?  
 Kiedy opuści cię zły duch, odzyskasz rozum i Naiszadę?  
 A gdy cię znęka trud i głód, gdy staniesz tęskny, bezucieszny,  
 Kto twe znużenie, ludzki lwie, ucieszy, królu mój bezgrzeszny!  
 Nareszcie łowiec jakiś w gąszcz — wszedł zabłąkany w wielkim  
 [lesie:

I gdy królewny słyszy płacz, nadbiega szybko, pomoc niesie!  
 Gdy ujrzy łowiec, jako wąż tę cudokształtną — w ścisłe skrety  
 Żarłocznie ujął — spieszy wnet zwinnie podnosząc łuk napięty.  
 I w oczemgnięciu krwawy grot wyrzuci w żmiję, co się wiję —  
 Aż znieruchomił ją ów człek, który zabójstwem zwierząt żyje.  
 Tak ją wybawił łowczy mąż — i czystą wodą obmył rany  
 I czystą wodą rzeźwił młodość — i pytał ją o losu zmiany!  
 — Ktoś ty, co masz gazeli wzrok? jak do tych leśnych doszłaś  
 [ćmów?

Jak do tych strasznych doszłaś klęsk? o, czarokształtna! prawdę  
 [mów!

Więc Damayanti, królu mój, gdy tak ją pyta się myśliwy:  
Jak było wszystko prawi mu — i cały los swój żałośliwy.  
Ów, gdy półnagą widzi ją — jej kształtną pierś — jej czary łona —  
I delikatne linie ud — twarz księżycową i ramiona —  
I oczy w cieniu skośnych rzęs — i słysząc mowę jako miód:  
Gdy łowiec ujrzał owy cud, zapłonął żądzą na ten cud.  
Więc mięko-chytrze mieniając głos — myśliwiec słodko ją tumani —  
Niby pociesza — pełny żądz: to zrozumiała piękna pani.  
Gdy niegodziwca pojmie głos, Nalowa czysta wierna żona:  
Wraz ją zapali straszny gniew, aż się podniesie oburzona.  
Zaś niegodziwy łowiec ten, nieokielznanym ogniem tchnąc:  
Widzi, że trudno będzie mu uciszyć tutaj żar swych żądz.  
A Damayanti, córa klęsk, wygnanka jak samotna łąń,  
Gdy słów właściwych nadszedł czas, przekleństwo takie rzuca nań.  
— Jak poza Nalem nigdy nikt nie marzył mi się i przez sen:  
Tak niechaj martwy u mych nóg padnie bezczelny łowiec ten!  
Zaledwie rzecze słowa te, natychmiast łowiec u jej nóg  
Na czarną ziemię martwy padł, jak przepalony ogniem buk!

*Tłómaczył Antoni Lange.*



## Chora wieża.

### ROZDZIAŁ II.

Kiedy po latach walk Gwido II Buonatesta objął wreszcie tron książęcy, miasto było zrujnowane. Stuletnie blisko wojny, podczas których miasto i kraj przechodziły kolejno z rąk do rąk — od Turków do Genuńczyków, do weneccyan, znowu do Turków — wyniszczyły mury, ziemię i ludność. Wzajemne walki, niesnaski, dokończyły tego, czego nie dokonały czasowe rządy obce. Wiele ludności wyemigrowało, szczególnie bogatszych rodzin mieszczańskich i kupieckich, w obawie nietylę utraty mienia, ile żarłoczności czasowych władców i wielkorządców, którzy nie znali żadnych praw, prócz prawa siły. Ostatni z nich, tyran, kondotier, niejaki Catena, osadzony tu przez Wenecję, która chciała w ten sposób pozbyć się niebezpiecznego wodza, pijak, człowiek bez rodziny, bez domu, wyciągnął ostatnie resztki z ludności i miasta, wiedząc, że panowanie jego będzie niedługie, że prędzej czy później zginie, lub zostanie wypędzony.

Na domiar złego, przed dziesiątkiem lat orkan zburzył tamę, niszcząc port, czyniąc go zaledwie zdarnym do użytku. Handel, który w owych czasach, przyzwyczajony do burzliwej atmosfery chwili, radził sobie jakoś i trwał, wyciągając korzyści z politycznych zawikłań, upadł po zniszczeniu portu. Pod koniec wreszcie wygłodzone, zbiedzone miasto

nawiedziła zaraza, dziesiątkując ludność, jako naturalny skutek klęsk poprzednich.

W takich to warunkach wstąpił na opróżniony tron Buonatesta.

Wjazd jego do miasta był bardzo oryginalny: ludność patrzyła ze zdziwieniem na czterdziestokilkoletniego, rudawego człowieczka, z kosem okiem, roztrzepaną brodą, który jechał na zwyczajnym, wychudzonym człapaku, ubrany jak ciura, otoczony świtą, która wyglądała jak zgraja oberwańców, pościąganych z różnych końców świata, jakich się widuje w wielkich portach Genui, Neapolu. Sądzono z początku, że z poręki Wenecyi dostał się na tron książęcy nowy awanturnik i głodomorek, tylko mniejszego gatunku, który ma zjeść resztki dla poprzednika już niewystarczające.

Buonatesty nikt z dobrej strony nie znał; miał on opinię rozpustnika i pijaka ostatniego rzędu, który nie pogardzał zwyczajną dziewczyną publiczną, kochanką swoich żołnierzy, ani winem, którem upijali się oni. „Il barbaro“, mówili ludzie, przypominając jego ostatnie, nieudane swaty, w których książę Messyny kazał przyjąć jego posłów w tajni; nie zapomniano mu jego awantur jako nałogowego gracza w kości, znanego w szulerniach Neapolu, jako jednego z niebezpieczniejszych oszustów i sprytniejszych wydrwigroszy; znano jego zatargi ze stryjecznym bratem o majątek; jego manję zwracania na siebie uwagi wszędzie i we wszystkim — środkami, na które nie pozwolilby sobie podpity żołdak, w obawie śmieszności.

Ludność od nowego księcia nie oczekiwała nic dobrego.

Tymczasem okazało się, że ta jego awanturniczość, szulerka etc. — były to nieużytkowane, źle skierowane zdolności doskonałego polityka i niezwykłego władcy.

Młody książę, jako gospodarz, objeżdżając w pierwszych dniach miasto, na tym samym człapaku, na którym wjechał, w tem samem obdartem ubraniu, wodził jednym swem zdrowym okiem po spustoszeniu, co krok napotykał ślady długoletniej poprzedniej gospodarki, ślady czasów gorących, nieporządków i rabunku.

W dużym, dogodnym niegdyś porcie, stały tylko marne statki rybackie, — przez szczątki tamy, pieniać się, przewalało się morze. Wielki plac i ulica nadbrzeżna, niegdyś pełne handlu, beczek, bydła, ludzi, obecnie zarastały po kątach trawą. Z dawniejszych składów, sklepów, winiarni i miejsc zabawy, pozostało tylko kilka starych, wlokąc żywot nędzny, opierając się na drobnym handlu miejscowym, wspominając stare czasy i czekając na lepsze. Wszędzie na murach widać było stare

emblematy kupieckie, co krok spotykało się martwe, zapuszczone kąty ze śladami niedawnego życia. Całe domy stały pustkami, porujnowane, pozabijane lub zajęte przez ostatnią nędzę, która tu zagnieździła się. Kozy — znak biedy — włóczyły się wszędzie, wyskubując z między kamieni trawę na placu, który niedawno jeszcze widywał znakomitości, książąt, posłów, kupców, zatrzymujących się tu w przejeździe, na drodze do Bosforu, Aten, Jerozolimy, Egiptu etc. do Wenecyi, Neapolu, Rzymu, Ravy, Genui, Marsylii i odwrotnie. Niespokojne fale, nie wstrzymywane teraz przez rozniesioną tamę, poczęły już niszczyć kamienny bulwark, podmywając go od spodu.

Zamek i okoliczna dzielnica nosiły widoczne ślady walk, które się tu toczyły. Fasady pałaców były poodzierane, dachy dziurawe, okna zniszczone, w niektórych miejscach domy stały jak szkielety popalone, zięjąc czarnem wnętrzem, zniszczonem przez pożar. Pałac Testonich naokoło bramy był osmolony, świadcząc o tem, że podkurzano się tu wzajemnie w czasie walk, jak pszczoły. Nie szczędzono nawet kościołów, których wnętrza i mury bardzo dobrze nadawały się w celach obrony, służąc jako fortece.

Stare miasto i okolice wieży formalnie całe zarastały krzakami i trawą.

Książę wjechawszy na plac przed Starą Signorią, parsknął śmiechem. Cała dzielnica wyglądała jak puszca — wszystko zarosło, nawet wnętrza, gdzie dochodziło słońce, nie były wolne od zaroślin, nie mówiąc o rynnach, niszach i załamach murów.

— Ależ tu wspaniale można paść konie! — zawołał.

Była to pierwsza głośna uwaga o jego nowem dziedzictwie.

Dzielnica fabryczna była również jedną prawie pustką. Wielkie książęce tłocznie wina przedstawiały widok osobliwy. Dzięki szczególnym staraniom ówczesnego ich rządcy, utrzymane były wzorowo: czystość i porządek panowały tu wszędzie, podwórza były umiecione, budynki zreperowane. Niestety, po bliższem przyjrzeniu się, tłocznie, kadzie, oksefty — wszystko to było porozszybanę, nie do użytku, składy puste, od dwunastu lat — nie wyciśnięto tu ani kropli wina.

Gwido kazał sobie przeprowadzić rządę. Kiedy mu przedstawiono poczciwca, lat siedemdziesięciu, ubranego tak, jak gdyby tylko co wyszedł od krawca, Gwido rzekł:

— Widzę, że będziesz umiał doskonale utrzymywać... groby. Od dziś powierzam ci wszystkie kości moich przodków, którzy tu leżą i moje w przyszłości i zdaje mi się, że nie zrobisz mi zawodu.

Kursa wvzše dla kobiet  
im A Barieckiego  
w Krakowie Karmelicka 36

Najmniej ucierpiała stosunkowo dzielnica biedy.

— Błogosławieni nędzarze, bo... rozboju się nie boją — zauważył, spoglądając na stare, wysokie, ciasne domy, odrapane, nędzne i na ludność obdartą, wynędzniałą, patrzącą się mu w oczy ciekawie i niedowierzająco, obserwując z sieni, okien, z ulicy, nowego pana, który zresztą nie był dla nich niebezpiecznym, mógł im tylko coś dać, nie wziąć, bo już prócz skóry i duszy nic więcej nie mieli do oddania.

Wieczorem tegoż samego dnia, kiedy po trudach oględzin, nowy książę siedział z przybocznymi po raz pierwszy w stołowej sali zamku i pożywał się i popijał stare Chios, które dziwnym trafem zachowało się jeszcze w piwnicach, — będąc już w dobrym humorze, rzekł:

— No! moje nowe państwo bardzo ma wiele podobieństwa do starego, mocno dziurawego kaftana — tem się tylko różni od niego, że kaftan można sprawić nowy, a państwa nowego tak łatwo sprawić sobie nie można.

Trzeba było je łątać.

Skarb był pusty, pożyczyć na razie nikt nie chciał. Wenecya, do której się zwrócił o pożyczkę, odpowiedziała mu, żeby radził sobie sam, jeżeli potrafi. Lichwiarze, bankierzy jeszcze nie nabrali do niego zaufania, znając jego przeszłość. Sytuacja była trudna.

Gwido myślał, oglądał się, szukał, z kądyby tu wydobyć pieniędzy i na razie sposób znalazł.

W mieście, kościołach, w pałacu — wszystko, co tylko zdaleka świeciło złotem lub drogimi kamieniami, a mogło być użyte, zostało zabrane. Ale książę zauważył, że poprzednicy jego nie musieli dość dobrze znać się na sztuce, bo pozostało wiele rzeźb, z tych wiele greckich i rzymskich, które miały dużą cenę i były poszukiwane.

I sposób znalazł się.

Ludność, starsi z niepokojem, nawet z obawą zabobonną patrzyli na wywożenie starych, odwiecznych marmurów, do których poprzednio nikt prawie nie przywiązywał wagi, póki stały na swoich miejscach lub leżały po kątach.

Wyciągano z murów stare kolumny i kapitele, płaskorzeźby z przedsiónek i wewnątrz zrujnowanych opuszczonych pałaców, wędrowały stare greckie marmury, ściągnięte tu podczas wypraw ze Wschodu, z Aleksandryi, Syryi, z wysp Azyi mniejszej. Za jedną głowę, którą wygrzebano z pod stosu główni i popiołu, Gwido otrzymał w Rzymie okrągłe trzysta skudów. Stare marmury nagle nabrały wielkiej wagi, skoro ich zabrakło. Kiwano głowami na działalność młodego księcia, odzywały się gło-

sy rozumne, ostrożne, zabobonne. Tymczasem wywożono wielkie skrzynie, które zabierali handlarze z Florencyi, z Rzymu, Wenecyi, płacąc dobrze. Ktoś zwrócił księciu uwagę, że należałoby chociaż część zostawić, co lepsze, że nie można tak ogałacać kraju z pamiątek i dzieł sztuki, które wtedy stawały się prawie że świętościami.

— To nic, zrobimy inne — odpowiedział, jak gdyby nie chodziło tu o arcydzieła.

Miasto pod jego rządami poprawiało się szybko i widocznie. Lud począł go lubić. Sam książę nie zmienił się bardzo. Pozostał w zasadzie takim, jakim był dawniej. Książę Messyny dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że posłów jego tym razem już nie przyjmie w stajni.

— Przyślij córkę — postaramy się dobrze ją wydać za męża — pisał mu — i sam przyjeźdź także. Mamy tu teraz doskonałą kozłinę.

Książę Messyny nie przyjechał, córki nie przysłał, ale zrobił to, że Gwidonowi pożyczono sto pięćdziesiąt tysięcy weneckich skudów, przy pomocy których mógł prowadzić dalej rozpoczęte gospodarstwo.

Po pięciu latach poprawa była już bardzo widoczna.

Przez ten czas w pałacu pojawiła się księżna — trzydziestoletnia, wysoka brunetka, surowa, poważna, etykietalna, przy której książę wyglądał jak mops. Nie była piękna, rysy miała grube, duże, ale posiadała powagę królewską, postawę, wniosła trzydzieści tysięcy piastrów posagu oraz tytuł księżęcy.

Przed nią książę jadał na stołkach, mył się rzadko, spał na skórkach, w których zaległo się tak dużo robactwa, że czasami wyglądał tak, jak gdyby go kto wytarzał w pokrzywach.

Młoda księżna zaprowadziła porządkę, etykietę i postawiła życie w zamku na odpowiedniej księżęcej stopie. Jej to jedynie dwór zawdzięczał powagę i poważanie u ludzi.

Książę, swoją drogą miał zadanie dosyć ułatwione. Ruina miasta była świeża i nie sięgała do gruntu: „kaftan“ wyłatać było stosunkowo nie trudno.

Ktoś z tego powodu coś mu w tym sensie powiedział:

— Nie ma tak dobrej rzeczy, którejby głupi nie potrafił popsuć — odciął się. Porządnie psuć właściwie... umięją tylko mądrzy — dodał po chwili — i prawda, że nie miałem poprzedników ze zbyt tęgą głową: po takich zostałyby znacznie więcej do naprawy. I to jest istotnie szczęście!

Z ludźmi miał trochę więcej kłopotu, ale nie było ich wielu.

— Gdyby poprzednicy moi zostawili mi jeszcze dwa razy więcej domów, a dwa razy mniej ludzi — to byłbym z tego bardziej zadowolony.

ny — rzekł przy innej sposobności, kiedy odmawiał prawa powrotu kilku rodzinom, spodziewając się, że obecność ich przysporzy mu tylko trudności.

Paru niebezpiecznych ściągnął do siebie i bez ceremonii zamknął zaraz w więzieniu.

— Nie możemy darmo płacić dozorcóm — trzeba im dać coś do roboty, u nas nikt próżnować nie może — rzekł cynicznie.

Część majątków wygnanych, uwięzionych, użył dla siebie, część rozdał przybocznym i zaufanym. Większość rodzin możniejszych miała w swym składzie przeważnie starców, niedorośtków, kobiety — głowy rodzin poległy.

— Dopiero mój następca będzie miał z nimi kłopot. Ja tymczasem jestem ich ojcem — rzekł przy jakiejś okoliczności.

W stosunkach zewnętrznych okazał się politykiem nadzwyczajnie zręcznym i mądrym. Ówczesny papież, którego użył do swoich celów i wyzyskał, zorientowawszy się, rzekł śmiejąc się:

— Całe jego szczęście, że mieszka daleko odemnie, bo bym się go radził.

I dowiedziawszy się następnie, że w swoim czasie powyprzedawał się ze wszystkich dzieł sztuki, przysłał mu jeden z dawniej kupionych od niego marmurów, na którym kazał napisać:

„Dowcipnemu szachrajowi“.

Gwido kazał odciąć napis, posłał go do Rzymu z listem następującym: „Rzeźbę przyjmuję, napis odsyłam z powrotem“.

Papież z początku obraził się i myślał go ukarać. Ale później machnął ręką na całą sprawę.

— Między małymi książętami jest jeden, któremu wszystko wolno, — rzekł kiedyś przy sposobności o nim.

— Kto?

— Gwido Buonatesta.

— Dlaczego?

— Bo błazen.

Taką mieszaniną dowcipnego błazna, któremu skutkiem tego „wszystko wolno“ i zręcznego, mądrego polityka, który bardzo sprytnie i mądrze brał sobie lub robił to, czego mu nie było wolno, pozostał już zawsze, doczasu radząc sobie we wszystkim doskonale, póki nie przyszły inne czasy, inni ludzie, wobec których ta metoda zdobywania i postępowania okazała się niewystarczającą a nawet niebezpieczną. Tymczasem zaś miał nieprzyjaciół, którzy mu nic zrobić nie mogli, miał silnego protektora w osobie Wenecyi, potrafił się dobrze ustosunkować, dobrze

związać ze współczesnymi dworami. Człowiek ten znał życie i ludzi, cenił je i potrafił sobie dać radę tak, jak radził sobie wtedy, kiedy tłukł się po miastach Śródziemnego morza. Tylko nie tak po desperacku. Tam nie miał nic do stracenia. Tu mógł stracić wiele i to go w pewnych razach odpowiednio zmieniało.

W rok po ślubie, który odbył się z wielką pompą, rzekł:

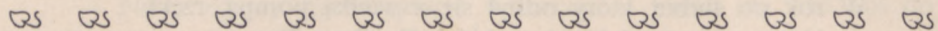
— No! a teraz trzeba coś zrobić i dla Pana Boga.

Rezultatem tego były następujące roboty — przeróbka katedry i budowa kościoła ś. Makarego — patrona miasta i wyspy.

Pierwszą robotę około katedry prowadził Benozzo da Cola zwany Toscano — rzeźbiarz, malarz i Architekt z Florencji, drugą stary architekt miejscowy Astoli. Obie roboty wykonywało się pod protektoratem księżnej, bardzo nabożnej i bardzo zajmującej się sztuką. Skutkiem tego teraz na dworze — obok żołnierzy, różnych pomocników, funkcjonariuszów, urzędników, powierników księcia, potrzebnych mu w jego skomplikowanej robocie dyplomatycznej, w jego rządach chytrych i despotycznych — poczęli zjawiać się artyści. Dwór kompletował się i powiększał na wzór dworów Medyolanu, Mantui, Urbino, Ferrary, Werony, Rimini i innych. Zjawił się Benozzo, zjawił się Julio, Marianca, Tartarugo; malarze Marco di Siena, Petrucci, bronzownicy, mozażyści i inni — i wytworzył się ów zbieg okoliczności, tak przypadkowy dotychczas w historii, który wydaje owe wielkie, sławione następnie przez długie lata, złote czasy, po większej części krótkie okresy, w ciągu których na niepozornych miejscach szarej masy, po kilku wstępnych oznakach, wyrasta kwiat życia, rozkłada koronę, błyszczy przez pewien czas, aby następnie więdnąć najczęściej bezpotomnie, nie doszedłszy nawet do pełnego rozkwitu, podcięty przez robactwo, niezdrowy ferment, nagły i nowy zbieg okoliczności w łonie środowiska, które ów efemeryczny kwiat wydało.

W Atenach, Efezie, w Wielkiej Grecji, we Florencji, w południowej Francji w epoce gotyku, w Wenecji to kwitnienie bywało dłuższe, dawało nasiona, które rodziły nowe kwiaty, trwając przez kilka pokoleń. W małych miastach — Ferrarze, Rimini, Siennie, Weronie etc., podobne epoki były to tylko błyski, trwające w ciągu jednego szczęśliwego panowania, jako odbłask ogólnego ruchu Odrodzenia. Dwór Gwidona należał właśnie do owych małych, choć wspaniale ubarwionych efemeryd, które mogła się pochwalić większość miast rozrzuconych na północ-wschodzie starego Śródziemnego morza — efemeryd rodzących się szybko, prawie nagle i znikających bez powolnego zamierania — runięciem i rozsypaniem się wszystkiego. Wytworzyła je zdolniejsza jednostka i zbiera-

nina ludzi talentu, ściągniętych z różnych końców świata; zniszczyła — walka, zbyt silne kontrasty w łonie owej nieorganizowanej, nie zżytej z sobą grupy ludzi, dość silnych, aby stworzyć moment pełen treści ale nie zdolnych do uczynienia go ciągłym.



Było już dobrze popołudniu. Słońce jeszcze paliło, ulice były wyludnione, kiedy grupa mieszczan znalazła się na placu przed zamkiem. Dwór poszedł jeść, im zaś powiedziano, aby nie zawracali głowy księciu wieżą i swojemi sprawami, ponieważ książę ma swoje własne, znacznie ważniejsze, które muszą być przedewszystkiem załatwione.

Bempo wracał do domu w towarzystwie dwóch najbliższych sąsiadów. Zaprosił ich do siebie na wino. Biedacy mieli dosyć strapione miny, szli ocierając pot chustkami, jakgdyby to było święto.

— A mówiłem, że nic z tego nie będzie...

— Bah! — zachnął się Bempo — tak można mówić zawsze!

— Ale zgadłem...

— Bo umiesz tylko krakać.

Źle się stało — westchnął trzeci.

I szli dalej.

Po przejściu kilku uliczek, weszli na plac, bardzo porządnie drobnymi kostkami wybrukowany.

Prawą stronę zajmowały otwarte halle targowe o łukach obszer-nych, gotyckich, obecnie napół puste. Na przeciwko, na przeciwległym rogu, u wejścia do ulicy, prowadzącej do dzielnicy niegdyś zamieszkiwanej przeważnie przez kolonię Maurów, stoi dom bardzo dziwaczny. Jest to gotyk dziwnie pomieszany ze wschodem. Cały z kamienia, pierwsze piętra zajmują kryte maurytańskie balkony, w narożniku biegnie wiązka kolumn gotyckich, opierająca się na grubym słupie, z ogromnym kapitelem, w którym rzeźbiarz umieścił figury bardzo nieprzyzwoite, znane w całej okolicy: scena córek Lota z ojcem, Mojżesz przebijający włócznią parę, schwytaną na przestępowaniu szóstego przykazania i inne wyjęte z Biblii.

Na płaskim dachu taras wpeł kryty, zastawiony całym ogrodem pomarańczy. Nad sienią ogromny kuty pałak, wpuszczony w mur, dźwiga wielką latarnię, jedyne oświetlenie placu, podczas nocy bezksiężycowych.

W słoneczne, bezwietrzne dni, jest tu cicho i przyjemnie, spokojnie.



Domy stają, plac stosunkowo czysty skutkiem braku ludzi. Mieszkają tu przeważnie robotnicy, tragarze portowi, których podczas dnia nie ma. Życie w dzień zdaje się tu chodzić pod ścianą, zachowując się cicho,

Dom narożny należy do mieszczanina Arnolfa Bempo i jego żony Matyldy.

Dochodzi szósta popołudniu. Matylda wymówiła się niezdrowiem, skutkiem tego Bempo i zaproszeni trzej towarzysze muszą bawić się sami. Przyniesiono im wina, poczęli grać w kości, przeplatając grę rozmową a głównie wymyślaniem, wyrzekaniem na złe czasy, biedę, rządy starego księcia, wieżę, która im żyć nie daje.

— Zwalić! zwalić! — krzyczą.

Na piętrze, w alkwie, ubiera się pani. Jest to pokój, do którego w jej obecności nikt z mężczyzn nie ma wstępu. Zielone żaluzje wpółuchylone wpuszczają półmrok. Komnata dosyć obszerna chociaż niska. Pod ścianami kufry, szafy, między oknami duże weneckie kryształowe lustro, pod nim rozpostarty smyrneński dywan. W powietrzu unosi się delikatna woń pachnidła, zdradzająca mieszkanie kobiety.

Na placu cicho, z dołu przez sufit od czasu do czasu słychać głosy Bempa i jego gości. Matylda spieszy się. Na ziemi stoją miednice, dzbany i kubki, przeznaczone do kąpieli. Młoda kobieta stoi zupełnie naga, na środku pokoju, na mokrych chustach. Ciało ma niezwykle białe, mocne, lekkie i delikatne; błyszczy się ono w półmroku, mieniając się na piersiach, w okolicach bioder, niby perłowa koncha. Włosy ciemne rysują tors i głowę. Tylko co się umyła, po szyi, po piersiach, lekko wyciętych udach spływają krople wody, które w zielonawym świetle żaluzji mają kolor szmaragdów. Zgięta, cichym głosem wydaje rozkazy swojej służebnicy.

— Jeszcze tu wytrzymaj. Obie spostrzegły jakąś plamkę na kolanie i poczynają przyglądać się jej uważnie. Matylda uklękła: prawe kolano błyszczy się teraz skutkiem obciążenia skóry, niby wymodelowane z młecznego jaspisu. Widać tam niewielki szarawy obłoczek na ciele bez skazy.

— Musiałam się uderzyć — mówi zafrasowana.

— Nie boli?

— Nic nie czuję. Wygląda jak brudne...

— E! nie! wygląda ładnie! — mówi dziewczyna z uśmiechem, pokazując dwa rzędy błyszczących zębów.

Twarz Matyldy trochę zmęczona, dziwnie wygląda przy ciele świeżem. Włosy trochę roztrzepane, na policzkach lekkie wypieki, usta zbła-

dłe skutkiem chłodnej wody. Jest wzruszoną i ubiera się gorączkowo. W oczach ciemnych połyskiwał ogień, który nie miał w sobie nic gorąca — przeciwnie, chłód i cień.

— Jesteś dziś zmęczona — mówi młoda dziewczyna, zajęta przy swej pani.

— Trochę — odpowiada Matylda.

— Było dziś gorąco,

— Tak — rzekła Matylda, oglądając się uważnie w lustrze. Zobacz na plecach: jestem zupełnie czysta?

— Jak perła.

Chwilowy błysk uradowania rozświetlił jej twarz i zgasł. Matylda uśmiechnęła się. Zbliżyła się do rozwartej szkatuły pełnej słoików i flakonów. Były to maście wonne i oleje — olejek różany, nard, ambra, piżmo, nalewki z bzu, fiołków, gwoździków, lewkonii. Obie kobiety poczęły się naradzać, które wybrać i co gdzie niemi namaścić. Nina lubiła swoją panią, lubiła ją ubierać, rozbierać. Chodziła koło jej ubrań i drobiazgów. Sama była brzydka i nie mając powodzenia, zrobiła się nabożną i surową dla siebie, tyleż miała wyrozumiałości i pobłażania dla swej pani. Matylda pielęgnowała siebie tak jak gdyby pielęgnowała kwiat. Jej służąca pomagała jej w tem gorliwie, myjąc, czesząc swoją panią, wywabiając każdą plamkę, każdą skazę tak, jak gdyby to była kosztowna koronka. Nad zadrażnieniem, starciem, gotowe były obie siedzieć godzinę i mówić o tem dzień cały, radzić się starszych kobiet, doświadczonych w sztuce utrzymywania piękności.

— Musimy się spieszyć, Nino, czas leci, robi się późno, przed wieczorem wyjść muszę.

Czoło miała zasępione, brwi lekko ściągnięte, oczy zajęte, co było dziwne przy pełnej, nie czującej siebie nagości. Chwilami zapominała o tem co robi, to otrząsała się nagle z jakiejś myśli przykrej, która trzymała jej uwagę na uwięzi. Nina obserwowała swoją panią, ale nie śmiała o nic pytać. Wyjęła suknie z szafy.

Poczęły je wybierać. Matylda jeszcze raz przejrzała się uważnie w lustrze zbliżka, obejrzała ręce, piersi, stopy. Ciało jej wytarte olejkami, pachniało lekko, białe i czyste, lekki półmrok wpółotwartych żaluzji nadawał jej kształty nietyle piękne proporcjami, co niezwykłą subtelnością wykończenia. Szeroki gors, rozplywający się na ramiona i szyję i energiczne zarysy niewielkich a pełnych piersi, wydłużony, czysto kobiecy tors, spływające biodra, wszystko to posiadało w sobie coś z kwiatów, miało mleczny, ciepły blask, który mienił się perłowo w porusze-

niach miękich i wdzięcznie niezgrabnych, kobiecych. Matylda ubierała się pośpiesznie. Z dolnej izby dolatywał teraz gwar zmieszanych ochrypłych głosów męzkich. Bempo i jego towarzysze musieli się upić.

— Nie zobaczy się pani z panem?

— Nie — rzekła Matylda pośpiesznie.

Ubrana, otworzyła drzwi na taras. Do komnaty wpadło pełne, dzienne światło dnia, który wkrótce miał się już mieć ku schyłkowi. Taras pełen drzew pomarańczowych. Niektóre kwitną. Matylda zbliża się, rwie kwiaty, układa z nich niewielki bukiet i przypina go do piersi.

Z tarasu widok z góry na miasto, na dachy i tarasy, ponad którymi w niedaleko góruje wieża.

Matylda zna ją i lubi, ilekroć na nią patrzy, tyleż razy serce ściska się dziwnie i przypomina się Julio. I teraz oczyma wyobraźni widzi znany jej zaułek po za kościołem świętego Marka, maurytański stary pałacyk i ogród zarośnięty, z wielkim kasztanem; przypomina się sypialnia Julia, jego wysłany starannie tapczan. Krew uderza jej do głowy, rumieni się i zaraz potem blednie. Wieża przypomina jej zasepione czoło Julia, jego niepewne spojrzenia i dziwność zachowania się.

— A jesteś w czemś podobny do niej — mówiła mu nieraz — lecz sama nie wiem czemu. Boję się o ciebie...

Istotnie doznawała lęku na widok wieży i podobieństwa do kochanka. Nieraz siedząc wieczorami na tarasie i patrząc, jak niebo zachodu powoli gasło za chorym olbrzymem, myślała nad tem, w czem ten związek leży. Julio wieżę lubił i ona ją lubiła. We dnie, wieczorami, wieża była jakimś związkiem między nim a nią, wiedziała, że Julio czasami chodził nocą pod nią, że lubił o niej myśleć, że czuł się z nią czemś związanym. I ona również zawsze z pewnem drzeniem serca patrzyła na wysmukłe i mocne jej kształty. Bała się jej, kiedy w księżycowe noce widziała jej czarny cień na niebie, a jeszcze bardziej, kiedy majaczyła ona w ciemne gwiazdziste noce, jako niewyraźny pas, łączący ziemię i niebo. Wtedy czasami płakała, nie mogła sobie miejsca znaleźć, trawiona przecuciami, które ssały, męczyły jej biedną, kobiecą głowę. Julio był dla niej niezrozumiały, chociaż miała od niego wszystko, czego kochanka wymagać może. Niestety, czuła, że w ostatnich czasach coś w nim zaszło, co jeszcze bardziej pogorszyło sprawę. Teraz każda schadzka, każde widzenie Julia, przed tem, i w trakcie, i po tem — było dla niej tylko jedną męką. Idąc, bała się, będąc przy nim drżała przez cały czas jak w febrze; wracała do siebie rozbita, aby długie godziny trawić na bezpłodnych, niekończących się i męczących rozmyślniach, które nie do-

prowadzały ją do niczego. Teraz miłość nie dawała jej nic, prócz męki, żadnych rozkoszy, tylko same udręczenia, przeciwko którym nie było żadnego lekarstwa. Matylda czuła zupełną bezsilność wobec kochanka, który przerastał ją we wszystkim, był za skomplikowany, za trudny już wtedy, kiedy się w nim zakochała, a cóż dopiero teraz, kiedy w nich poczęło się również coś dziać — coś, z czego sam sobie dobrze sprawy zdać nie potrafił. Ież to razy patrzyła mu w twarz, kiedy tego nie widział, otwierając szeroko swoje ciemne, duże, półdziecinne oczy z naprężeniem, jak gdyby oczyma temi chciała przebić jakieś ciemności, zagłębić się i przejrzeć, zrozumieć, kto to jest ten, którego kocha tak mocno, co w nim siedzi, dlaczego ona pojąć go nie może, zbliżyć się, dlaczego nie rozumie ani jego odpowiedzi, ani zasepień, tonu głosu, ani uśmiechów, pocałunków, chociaż tak strasznie usilnie stara się je pojąć, tylokrotnie przewracała je w głowie, aby jakoś przedstawiły się wyraźniej i zawsze napróżno, chociaż kosztowało ją to tyle męki?

— Kocha ją czy nie? kocha się w kim innym? tęskni do nieokreślonej przyszłości? gnębi go sztuka, ludzie — czy już taki jest człowiek? i jakoś dziwnie często nasuwała się jej wtedy chora wieża. Ostatniego wieczora, kiedy wróciła do domu z tkwiącemi jej w sercu suchemi, słowami Julia, który mówił jej wprawdzie o swoim przybranym ojcu, ale mówił tak, jak gdyby toż samo mówił o sobie i nie rozumiał przytem, czy zrozumieć nie chciał, że ją dotknął w najboleśniejszą stronę — jej chęć zrozumienia jego, wyciągnięcia zeń tego, co w nim siedzi. Wtedy wieczorem tłumiąc łzy, myślała, że gdyby jej przyszło zginać, to chciałaby aby się wieża na nią zzwaliła.

I teraz spojrzała na nią ze strachem. Wkrótce potem drobne jej kroki rozległy się po pustym zaułku za kościołem świętego Marka.

W dzielnicy staromiejskiej za świętym Markiem znowu panowała zwykła wieczorna cisza. Tylko u stóp parkanu z glicyniami leżał błękitny posiew napół zwiędłych, drobnych kwiatów, które poczęły już opadać. Maurytańska fasada pałacu mieniła się arabeskami w barwnym świetle zachodu, który rzucał na nią liliowe i purpurowe blaski, mieszając je z błędnym szafirem nieba. W ogrodzie między murami bujna roślinność poczęła już sączyć wieczorne zapachy: rozkwierały się wieczorne kwiaty, zamykały sięienne. Pod oliwką siedział stary Mario i reperował ubranie.

Julia nie było. Matylda rozejrzała się po ogrodzie. Była zadyuszana.

— Nie ma? — zapytała, wiedząc zgóry jaką odpowiedź otrzyma.

Mario podniósł zmęczone oczy.

— Nie! wyszedł i nie wiem, czy prędko powróci. Zawezwał go Benozzo... Siadaj. Jesteś zgrzana. Po co było tak się spieszyć?

Matylda usiadła. Czuła, że spotkał ją zawód, że przyszła napróżno, chociaż nigdy zgóry nie spodziewała się niczego, bo nigdy nic przewidzieć nie mogła.

— Dawno wyszedł?

— Nie, nie dawno. Czekał na ciebie.

Na twarz Matyldy wystąpiły nagle rumieńce zadowolenia.

— Nie mogłam przyjść wcześniej, chociaż spieszyłam się...

— Ubierałaś się? — rzekł Mario patrząc na nią z uśmiechem, który z trudnością przebijał się przez jego twarz zwiędłą, zmęczoną, zestarzałą.

Matylda rozejrzała się po uroczystej wieczornej pustce ogrodu.

— No cóż? — zapytał po chwili.

— Muszę iść — pójdę... rzekła niepewnie.

— Odpocznij trochę, nie spiesz się, może Julio wróci.

— Nie wiesz, czego chciał Benozzo?

— A! — skrzywił się Mario.

— Czy co złego?

Mario zamilkł i przez długą chwilę patrzył błędnym wzrokiem przed siebie.

— Złego? złego? — powtarzał i źrenice zachodziły mu starczą mgłą i smutkiem. Kto wie, co jest złe a co dobre? Ludzkie sprawy są poplątane... Poplątane, o! jak te oliwki, zagłębione w ziemię, gdzie jest zupełnie ciemno. Gdzie się one kończą, gdzie? — rzekł po chwili, kiwając głową, zajęty swoją myślą, zapominając zupełnie o tej, która obok niego siedziała.

Matylda patrzyła się na niego. Jej chodziło o jakąś wiadomość. Tymczasem miała przed sobą starca, w którego duszy tak jak i w ciele, kołatały się już resztki życia — wątte płomyki, nie dające światła, płonące, a właściwie tlejące już tylko dla siebie, ukryte pod popiołami. Wiedziała ona, że jeżeli myślał o czym — to myślą jego był Julio i tylko on. Wiedziała, że wypowiedziana przed chwilą myśl opleciona była około Julia, że stary żył już tylko nim, jego osobą. Ale wiedziała, że obecnie Julio jest dlań małym dzieckiem z czasów, kiedy Mario zabrał go z ulic Genui i uprowadził z sobą w świat, oderwawszy go od rodziny, od majątku, od nazwiska, uczyniwszy w ten sposób przybranego syna człowiekiem bez domu. Krzywda, którą mu uczynił, stała się główną

troską jego życia — obecnie jedyną — owem sercem bijącym jego duszy, do niczego już prawie nie zdolnej. Stary Mario kiwał głową, Matylda założyła ręce, zwątpiwszy, czy zdoła jeszcze coś z niego wydobyć. Po przebytych wzruszeniach zapadła w chwilową obojętność. Cisza i chłód wieczornej pory usposabiała do tego. Nie miała ona głowy filozoficznej, nie umiała myśleć abstrakcjami, nie miała swoich myśli. Nieraz zdarzało się rozmawiać z Mariem, rozumiała go bardzo rzadko, ale instynktem przeczuwała, że to wszystko co mówił, szczególnie to najbardziej niezrozumiałe, odnosi się do tego, który ją tak obchodził; chwilami zdawało się jej, że część duszy jej kochanka, której ona nie rozumie, siedzi w tym starcu, że on ją zna, że on winien jest wszystkiemu.

— Jesteś zmęczony, może chcesz spać... Ja poczekam tu sama — rzekła Matylda łagodnie.

Zmrok powiększył się, twarz Maria zaledwie majaczyła w szarym półcieniu. Począł coś mrużyć. Matylda przełękała się, sądząc że staremu coś się stało, że zasłabł. Ale przekonała się, że nie, że tylko mówi do siebie, że nawet mówi do niej, ale tak jak gdyby mówił do siebie.

— Ja wiem, ty go kochasz! — Matylda zaparła dech. Ja wiem... on ci się podoba, ale ty kochasz nie jego. On... jest tam... — zakończył głosem zapadniętym, wyciągając palec w kierunku miasta.

Matyldzie zrobiło się zimno, poczuła, że głowa jej ścisnęła się boleśnie, że łzy nagle poczęły się w oczach kręcić, jak gdyby pod powiekami ruszyły się kłęby bogactwa. „I ten mówi toż samo!“ Pomimo zmroku, oczy jej poszły za ręką Maria, który ukazywał w głębi rysujące się z pomiędzy drzew dachy domów i sylwety wież świętego Marka. Niebo było ciemno granatowe; tylko niektórych ścian czepiały się jeszcze nikłe odblaski zgasłego nad morzem zachodu. Płatanina pni i gałęzi, wszystkie zagłębienia i cienie, były zupełnie gęste. Wtedy poczuła raczej aniżeli zobaczyła, że stary Mario podniósł się z trudem, wyprostował się, zacisnął pięść w kierunku miasta. Chwilę tak stał.

— Oni go zamordują — wycisnął nareszcie z siebie głosem starczym, wzruszonym, wychodzącym gdzieś z głębi wyschłych piersi, jak gdyby z piwnicy.

Młoda kobieta przestraszyła się, opadło ją gwałtowne łkanie, poczęła cisnąć pięści do ust.

— Co ci? co to? — wyszeptał Mario, zbudzony niby ze snu. Przestraszył się i chwycił ją za rękę.

— Nic, nic.

— Płaczesz?

— Nie...

Stary zastanowił się potrząsnął głową.

— Nie bój się... on z tego wyjdzie — mówił wolno. — On... wyjdzie!...

Nie dokończył, zapadłszy w milczenie. Ostatnie słowa podziałały na młodą kobietę, jak ożywcza woda na zemdloną. Roześmiała się radośnie.

— Ach tak, on... ja się o niego nie boję...! Oni mu krzywdy nie zrobią, bo zrobić nie mogą! Ja wiem, chociaż nie wiem dlaczego — dodała z nagłym drżeniem.

Wkrótce potem namówiła starego Marią, aby się spać położył. Pomogła mu wejść na schody, zapaliła lampkę, dała mu wina, owoców.

— Jesteście zmęczeni? — rzekła.

— Tak, tak... jestem stary...

*F. Jabłczyński.*

(D. c. n.).



## Linie Hofera.

### VIII.

Niebo, słońce, gwiazdy — wszystko przezrocze, kryształowe — odbijałyby się w duszy uśpionej, jak w niezamkniętej krynicy Morskiego Oka. Spokojnie zstępowałyby w jej głębiny — turnie bezludne, — złote promienie światów, które ziemia, pyłek tylko „z ich potęgi otrząśniony“ — uczyniła straszliwą mocą niepojmowalnej odległości pyłkiem dla siebie, dla ziemi. Bezdenie granatowe niebiosów przeglądałyby się w bezdeniach szafirowych, łagodnych, snu i nocnego ukoju.

I bylibyśmy wszyscy jako cud żywy, który gdy zechce, gdy zamknąwszy oczy, odemknie na chwilę furkę — znajdzie w sobie, w okrucieństwie gliny — wszechświaty widzeń, Jakóbowe drabiny aniołów, — i przemierzysz wziętymi od nich skrzydłami bezkresy stworzenia i zwielokrotnisz je jeszcze dyamentowością ducha — wracalibyśmy do dziennej swej jawy, jak błogosławieni pielgrzymi, co syci wniebowzięcia — poszli znów między pługi ziemskie.

I dzień nasz byłby tylko palającą pamięcią jasnych tęcz i pełnofarbnych mirażów.

I troski dzienne i zmagania się życia tonęłyby w ich wielkości, jak drobne bezporadne czerwie, które zaniósł wiatr na odmęt pełnego morza.



I groty ludzkie szczerbiłyby zwierciadło naszej duszy tak, jak pajak wśród brzeżnej komyszy rysuje tafle wód, — na chwilę, na mgnienie oka.

Tak byłoby — ale niebo i słońce i gwiazdy owija od prawieków nieważkie, nieuchwytnie tworzywo.

Nie wykryje go żadna analiza chemiczna, jest na nie za ślepa i za tępa; odsłoni je tylko analiza widmowa duszy, i jedynie wtedy, gdy ta zdoła odchylić cichą dłonią, jakby muśnięciem skrzydła gołębiego, senną zasłonę Mai. Wtedy okaże się, że pogodne, spokojne, świetlane obrazy snów są poszczerbione, złamane, pokreślone haftami strasznych linii. Wtedy czujesz, że to jakaś obca słońcu i gwiazdom i pocztom anielskim — substancja duchowa zmałała tęcze, usiała je paroksyzmami czucia, niby twardymi gruzłami, przewcielona w straszną hostyę ułudy i z jej pomocą tka swe czarne i płomienne a zawsze posępne arabeski.

Nazwa tego tworzywa — fraunhoferowskie linie duszy, jego istota — Kłam szczęścia — ułuda zstępująca z zamysłowych i z zaniebiańskich regionów.

Wszystkie ludzkie żądze tam mają swoje kłamane rozkosze.

Marzenia — swoje niby ciało, dręczące jak ciało Galatei, niby marmur a niby krew, ogień i zapach i pieszczotę.

Tęsknoty tam są gotowymi, piniącymi się puharami.

Szczęście, którego by duch za dnia nie wytrzymał, tam jest, tam spływa lekko jak motyl, i nie oszalenia i ciężarem swym do ziemi nie przygniata.

Jeśli w zmierzchowej godzinie zasępu — zamajaczeje wizya najstraszniejsza z ludzkich, wizya powrotu tego, co bezpowrotne, — tam, za tą okropną furtą ziszcza się ona tak lekko, jakby tchniona z nicości w istnienie różdżką wielkości niezabudki, a rozpościera się w bezmiarach twe go czucia tak tyrańsko i brutalnie, jak huk dzwonu na trwogę w wieczornej czarze ukojenia.

Umarli nie wracają. Siłą tego faktu i doświadczenia piorunowany od początku świata — nie ludzę się nadzieją, że ich zobaczą na tym padole, i zrezygnowany prawie nie pragnę — więc ich też nie próbuje wrócić straszne owo tworzywo linii. Ale jeśli umarły był duszy mojej potrzebny i z nią zrośnięty, jak z bliźniaczym pniem, i bez niego jestem opustoszały na wieki — o, wtedy ono mi błysnie wizją jego istnienia. Śmierć jego, która jest jedną, jednym „raz na zawsze“, powtarza się dla mnie sto razy i urasta w sto śmierci, sto żałob, sto oplakań.

A jeśli ten, kto umarł, — umarł tylko dla mnie a rozdzieliła nas rzecz nikła, lecz jeszcze mocniejsza od stu śmierci, jeden z owych stra-

sznych mieczów życia, które przecinają zadzierzgnięte, zdawało się, na wieki spójnie? O wówczas straszne linie z wyrafinowanym okrucieństwem zmartwychwskrzeszą to co zamordowane. Gdy dlatego, żeby mogło się zrosnąć nanowo, dość byłoby jednej łzy, jednego słowa — tego słowa, co to nie może wyjść z ust okamieniałych dumą — łza i słowo padną całym deszczem brylantów na owe fatamorganne pola, ażeby po przebudzeniu tem łacniej jawa mogła się równać — katowni.

Ów Kłam szczęścia, który jest zapewne początku boskiego, bo szatan nie zwykł znęcać się za pomocą *stwarzania* — niekiedy daje wytchnienie upatrzonej ofierze. Ażeby tem łatwiej oślepić ją później i stumanić majakiem rajy — czyni kojące intermezzo. Zsyła sny o strasznych, piekielnych mękach, a potem raptem zdmuchuje je z oczów jak zły czad, i — wszystko minęło. Dusza, wróciwszy na słoneczne błonia dnia, uczuwa gwałtowny przyływ mocy, rozkoszuje się bytem, pieści każdym kwitnącym krzewem i każdym rozświegotanym skowronkiem i wita twarze ludzkie jak nowonarodzona. Gotowa nawet błogosławić fałsze i podstępny Linij, modlić się do ich dobrotliwego Sprawcy — w te wielkie godziny przebudzenia.

Ale — — niech tylko rozzuchwalona rozпали nowe, potężniejsze płomienie żądź, niech naprawdę stanie przed obliczem Boga i zażąda tego, czego żądać ma prawo, jako stworzona na jego obraz i podobieństwo — otrzyma to wszystko w odurzeniu snem nocnym, lub w półśnie upojenia dziennego. Zdobędzie wszystkie rajy, posiędzie wszystkie czary, dokaże wszystkich cudów, naprawi wszystkie zbrodnie na sobie i na ludziach spełnione, wypławi się we krwi wroga, uzbroi w spiż to, co siania się z niemocy.

Księża dytyrambów, którą trzymając w ręku zasnął, będzie mu berłem, krew niespokojnie wałaca w zmęczoną kopułę mózgu — koroną, a pościel — stopniami z obłoków.

A gdy się zbudzi, nie będzie nad jego wezglowiem stał Dedal i ojcowskimi łzami omywał ran syna, strąconego w przepaść...

.....

Czy w innych dzieje się to samo — nie wiem napewno. Monady dusz „nie mają okien“ — nie widzą się wzajem, więc i nie wiedzą o sobie. Stąd, jak dziwnie i coraz dziwniej na mnie patrzą, wnioskuje, że mnie nie rozumieją i że jest nas bardzo mało.

Żona Piotra, niewiasta o wyniosłem jasnym czole, z wyrazem twarzy madonny, która skończyła uniwersytet, i profilem greczynki, która jęczy w egipskiej niewoli trosk domowych, twierdzi, że mam wzrok stale błędzący po bezdrożach i że nie wiele słyszę z rozmowy, w której nibyto biorę udział. On zaś, Piotr, utrzymuje, że gdy wpadnę w zapał, mówię doskonale, jeno ciągle zbaczam w stronę, której nie można jeszcze nazwać bezsenssem, ale tak uporczywie maluję życie zorzami, że człowieka dyabli biorą.

Być może!

Zabawni — nie przeczuwają zgoła, że wszystkie złudzenia, którym oni dawno łby poukręcali, we mnie ciągle żyją, podtrzymywane tajemną potęgą Kłamu.

Co dla nich stosem popiołów, dla mnie tlejącem zarzewiem, — rozdmuchuję je, ile razy zechcę, w pożar, w całe zorze.

Mieszkacie, moi drodzy, na podwórzu sławnej fabryki porcelany i kryształów — grudy barwnych skorup i zakurzonych szkiełek — oto wasz świat — wasza jawa. Wielkie zaś wzory i kształty — to moja sfera — wielka fabryka cudnych waz i malatur.

Niekiedy tylko widzę trochę czarno — nawet te śnieżno-białe róże jakiegoś nieznanego mi gatunku jabłoni, rosnącego w lasku Bulońskim — widzę czarno. I muzykę słyszę czarno. Nieraz też kładę się spać z uczuciem mnicha, który sypia w trumnie.

Duch mój już nie jest ptakiem płochliwie latającym po przestrzeni — owszem, sam stał się przestworzem, powietrzem, atmosferą. Stracił zarysy indywidualne. Wyrwał się jakoby w bezbrzeże mgieł. Płynę łagodnie na żaglach górnych orkanów i to skłębiam się, to rozwłóczę i zawisam.

Z tego powodu nawet siostra Piotrowej, chochlik kobiecy o wielkiej głowie i jakby podciętych nogach, poetka, oprowadzona grubym węglowym konturem, jest wobec mnie bardzo dumna ze swego obrysunku.

Jest rzeczywiście tak zwarta i zlepiona w jedno, że gdybym w nią cisnął, naprzykład, czem ciężkiem, stłukłaby się jak ten oto gliniany dzban, który widzę na dachu wystawiony pod deszczówkę...

\*

Zaczynam ich ciekawić. Coraz częściej odwiedzają moją pracownię i kupują obrazy. A każdy radby rozsiać się bodaj na krótko

w mojem życiu, w mojej anemii, nad którą ubolewa, w moich „poglądach na sztukę“, w mojej duszy. Ale gdy już, już ma siadać — usuwam fotel nagle i — bęc!

Jedna ze srok, z gatunku krążących nad pracownikami malarzów, nawet błagała mię, żebym się zakochał i ocalił w ten sposób swój talent od zmarnowania. W obawie, że tu chodzi o nią samą, dałem czempredziej do zrozumienia, że jestem okrutnym kaleką, że niedawno wdrapawszy się na wierzchołek trześni, spadłem, zawadziłem o ostrą gałąź, no i t. d.

Przestano mię ratować, zapraszać, ustały i męzkie opieki, rady i wywiady.

Nie mam w sobie nic a nic mizantropii a przecież nie jednego już prawie wyrzuciłem za drzwi. Żał mi, ale cóż robić. Wejdę między nich ze swoją niemrawością — będzie, ani chybi, sromotne co do mnie rozczarowanie. Uchwałę, żem nieciekawym, nudnym, jałowym, niedowcipnym, więc zamiast siebie — wolę im rzucić ochłap — obrazek, szkic na jakiś wzniosły cel i t. d.

Jestem co prawda, sam jak brytan i bronię przystępu do mej zagrody. Albo raczej jak suka, która się boi, żeby ktoś z domowników nie dobrał się do nory, gdzie trzyma swoje szczeniaki, ale nie śmie ugryść i wszystkimi psiami wybiegami i całą psią udaną łaskawością, to znów cichym skowytem wstrzymuje nieproszonego gościa.

Wara! wara od mojego pola!

Miałbym wam pokazać moje szyderstwo, ażebyście odgadli, że jeśli szydę w rzeczywistości, to tylko z siebie, z tragikomedii mego życia, że wy mi imponujecie, całkiem naprawdę imponujecie — trzeźwością, przytomnością, rozumem i może — waszemi skorupami i brudnymi szkiełkami i tem przedewszystkiem, że nie jesteście —

och, że nie jesteście — — — mną?

Pokazać wam może ten dywan pleciony z bluszczu na ziemi moich wędrowek, ażebyście postawili na nim swoje łapy?... Pod nim otchłań — runiecie w głęboki jar, gdzie pleśń i martwica.

A może wpuścić na te oto schody? Na jedno, dwa, trzy piętra wgramolicie się. A piąte, dziesiąte — — setne? A szczyt wieży, z którego ogarniam wasze mrowisko i widzę wasze drobniutkie ruchy. Podążycie — co? Popuchną wam kończyny, rozboli kark, straciecie oddech — i na wieży znajdzie się znowu sam i będę patrzył, jak marne mrówki biegają na wszystkie strony i kręcą komicznie swymi poślądkami...

Spójrzcie na ten rysunek — nie mój zresztą, za dobry jak na mnie. Widać nogi wisielca, nic więcej tylko nogi; stopy elegancko obute w la-

kierki, spodnie najświeższego kroju. Oczywiście pan wykształcony, „z inteligencji“, może nawet artysta? Musiał to być kawał chłopca, bo wystawił sobie szubienicę olbrzymią, hen, aż pod niebo, bo oto w dole uwija się cały tłum z drabinami, drągami, sznurami, bosakami i t. p. Pędzą na wzgórek jakiś i myślą, że może zamtąd dostaną się do wisielca. Pędzą, każdy wielkości ćwierci jego stopy, zziązani, zapotniali, zafrasowani...

.....

Codziennie teraz pozuje mi do portretu Wanda Westalka. To zdumiewające, jakie ona ma jeszcze warkocze.

Zaszła w niej zmiana: stała się jeszcze czystsza niż była. Mieszkała długo na prowincyi, w jakimś gnieździe poświęceń i rezygnacyi, w jakiejś przypadkiem ocalałej, nie startej przez spiekotę światowej duszy — oazie ewangelicznych cnót i bezbrzeżnej dobroci. Wróciła z czołem jeszcze jaśniejszem, oczyma przezroczej patrzącemi, usta jeszcze cudniejsze się stały, blade róże na policzkach podawnemu wąż, niepostrzeżenie niksące w otaczającej jasności owalu twarzy a jednak zdrowe, ręce — rośliny, chwiejne, niepewne, jakby tymczasowe.

Z wielkim trudem i ledwie ukrywając zniecierpliwienie wobec tej przerażającej wstydlivosti, udało mi się ją namówić, żeby mi pozowała tak, jak raz wróciła z wielkiego koncertu — w czarnej koronkowej sukni, z dość dużym, może nieco parafiańsko dużym dekoltem, który raz po raz wywoływał na jej twarzy silny rumieniec. Miałem szczególną satysfakcję, że znikła przez to jej pewna niepozorność, że ci co dawniej czynili uwagi bardzo powściągliwe o jej urodzie, teraz byli uderzeni jej przewspaniałemi ramionami. Rzeczywiście, ich bujna, oślepiająca prawie irysowa białość, którą potęgowała jeszcze czarność obrzeżającej sukni — czyniła ją odrazu, bez stopniowań i przygotowania, piękną okazałą, wielkomięską. Odrazu rozwiła się w tych ramionach tchnienie pierwszego debiutu i stały się, jako skopiowane z dawnych, klasycznych, albo jako znajome, ze starożytnym herbem, sławą, poezją stu uwielbień i peanów. Pod wpływem tłumnych a schlebiających spojrzeń, prędko otrząsnęła się z zażenowania i nabrała stylu.

Widujemy się tedy codziennie. Jakaś błogość i nowe piękno powiały po mojej pracowni. Jedno i drugie tem bardziej urocze, że czy-

ste, niezamącone tęsknotą ani żadnem uczuwaniem w sobie podłych szeptów skradającej się żądy.

Po każdym rozstaniu uczuwam brak jej, i wyczekuję nieomal z u-pragnieniem godziny, kiedy ma przyjść. Więcej nawet, zdala przeżywam w sobie jej obraz inaczej, goręcej, i łączy się z nim jakby nadzieja i obietnica. Badam siebie, czy pragnąłbym ją ogarnąć i uwielbić. A choć wydaje mi się to trudnem, to jednak niezupełnie niemożliwem. Probuje, czy ten obraz pasuje do świetnych ram mojego marzenia — i prawie powiadam sobie, że tak. Tylko ta straszna, zabójcza przeczystość i ta inność organizacyi, która grozi wiecznem nieprzystosowaniem do nieukoju mojej wyobraźni.

Przygotowuję za każdym razem powitanie czule. Widzę w sobie i słyszę gorejące a jednak nie natrętne słowa, któremi ją przyjmę jutro, i słyszę, jak mi odpowie głosem swoich niepokalanych soczystych ust, a nie złowrogą seraficzną mową oczów. Ale gdy się tylko ukaże na progu, — we mnie wynurza się odrazu przyjaźń, pogodna braterska przyjaźń, bez cienia przeczuć burzy bodaj w przyszłości. Pryskają romantyczne złudy, z szybkością spełzania bańki mydlanej, i tuż obok zaczyna ku mnie tchnąć coś wielkiego i chłonącego pół-śmiercią i pół-rozkoszą —

Takie to straszne i taką karawaną wspomnień piekielne, tak obez-władniająco żywe, że umiałbym raczej upaść przed Wandą na kolana i błagać, żeby mię ratowała — odemnie, od obłędu, od momentalnego zidyocenia.

Ona — jakby to czuła, bo przez pewien czas jest milcząca, zakłopotana, nieśmiała. Instynkt kobiety pięknej mówi jej, że kobietę piękną wita się inaczej, a nie temi raźnemi, trzeźwemi, wesołemi słowy, pod któremi czuć jakąś drugą istotę, zepchniętą nagle w jakąś głębinę absolutnej tajemnicy.

Jednak swoboda i szczerłość wracają prędko i jest nam z sobą bardzo dobrze, i po jej wyjściu znowu wczarowuję ją złudzeniem w odu-rzający, zawrotny miraż rozkoszy.

Raz przyszedł niespodzianie Piotr — sztukator. Nie mogłem go nie wpuścić, postanowiwszy czule ją za to przeprosić, jeśli się gniewać będzie. Piotrowi nie umiałbym nigdy niczego odmówić a tembardziej wyskoczyć głupkowato do sieni i powiedzieć mu znanym szeptem: darujcie, moi drodzy, teraz nie mogę was przyjąć.

My troje, rozgrywający tak lichą i zużytą scenę — to nad moje siły...

Tymczasem Wanda siedziała już w najciemniejszym kącie otomany, z narzuconem na szyję boa.

— Mój przyjaciel — przedstawiam — Piotr, a to Wanda Westalka — nie moja i niczyja — bogdanka.

Uczynił kilka żartobliwie twardych lansad swemi chudemi i cienkiemi, stalowemi nogami.

Patrzył długo i uważnie na portret, potem odwrócił się do nas i wyrzekł z orlim błyskiem oczów i jakąś raczej surowością w twarzy niż z zamiarem krotochwilnym:

— Hm, szkoda.

— Jak to rozumiecie? — spytałem nieco zmieszany i nie odrazu.

— Bardzo prosto. To dla was żona, — to dla was żona — słyszycie?...

Żadne z nas nie odważyło się uśmiechnąć. Zdawało się, że to próba przekomarzania się, a to jakby w nocnej ciszy leśnego gąszczu załopotala sowa. Powiedział to z takim spokojem przekonania, jakby objawiał wielką, świętą, dawno uświęconą prawdę.

— Odkąd to uważacie mnie za materyał na porządnego małżonka — spytałem z odcieniem prawie uległości.

— Odkąd? Powiedzieć wam całą prawdę? A pani nie ma zbyt delikatnego słuchu? Odkąd wam krew uciekła z twarzy, a mózg z głowy. Ja wiem o wszystkim — podpatrzyłem, a teraz widzę rezultaty. Rozejrzał się dokoła — sto szkieł, sto zaczęć, nic porządnego, same poronione, niedonoszone — jakaś klinika. Myślisz, że chwytasz cały świat w garść — a jak ją potem otworzysz, to jakbyś w kąpielu złapał wodę w kułak.

Zdało mi się, że to dalszy ciąg sennego widzenia i że przed oczyma stanęły mi nagle cmentarne widma z ich urąganiem, zaś on przemawia do mnie głosem zagrobowym z głębi otwartej mogiły.

— Zresztą ty wiesz o tem lepiej. Lecz wiedz, że i ja wiem...

Nie pozwoliłem mówić. Czytałem jasno w jego twarzy, że on dawno już odczytał wiele stronic mej duszy — i wiedziałem napewno, co powie.

Tak, to ktoś z pod marmurowej tablicy mówi. Jeno nie tonem słabym, jęczącym, lecz — śpiżowego dzwonu.

Zmierzyliśmy się oczyma — zamilkł zmuszony mojem groźnem ściągnięciem ramion i tylko z politowaniem potrząsnął kilka razy głową; siadłszy nawprost mnie, zapalił papierosa i ciągle mnie lustrował poprzez kłęby dymu, ażem się odgrodzić musiał takimi samymi obłokami. Wkrót-

ce zamgławiło się wszystko w pracowni od grubej chwiejącej się kurnej mgły.

Mówił bezgłośnie o tem, co płynęło z jego konsekwentnej i gorzkiej dumy Iwa, który jeśli wychodzi z pustyni, to po to tylko, żeby ludzi rozszarpywać, a nie żeby się z nimi bratać; o kulach lustrzanych, które się stawia w pośrodku klombu, a które odbijają krzewy swego otoczenia — na miejsce krzewów postawić stado baranów, a będą kopiowały barany — o tem, jak z świętoszkowatych zręcznych heter czyni się boginie, — o tych, co zamiast płuwać i deptać — klękają, — o tych, co zamiast kryć *sanctissimum* swego ducha tajemną zasłoną — wprowadzają w nie oślice Balaama, — a ich ryk biorą za bratni wtór uniesień i modlitwy. Swemi oczyma przewiercał mnie na wskroś, sondował do dna i obnażał bezlitośnie, w imieniu mocy i dostojęństwa człowieka, w imię książęcości rozumu i wielkich idei, w imię wybraństwa myśli.

Mówił niemo, ale mówił mojemu gorzkimi wewnętrznymi słowy, moją własną samowiedzą — podpatrzył, że ja siebie widzę i sędzę.

Byłem zadowolony, że mogę udawać zajęcie się przyrządzaniem kawy i że maszynka szumiąc, zagłusza w części jego — niepowstrzymane kazanie.

Podał im po filiżance czarnej kawy.

— O! wy wiecie, że ja was widzę i sędzę — ciągnął dalej. Nie ma większej zbrodni, jak wymarzone nicości podnosić do zaszczytów rzeczy wielkich. Nie ma większego bluźnierstwa, jak do kapłańskiego orszaku rzeczy wielkich, wprowadzać żmije, obłoczone raz na zawsze prawem swej gadzinowej natury. Gdyby sztuka była żywym zakonem a majestat ludzki miał swego herolda i sędziego — to każda taka profanacja byłaby karana — różgami...

To jużbym wolał orgie, bezwstydne, bezgraniczne orgie — w tych przynajmniej dusza śpi, to przynajmniej letarg, dający rękojmię jej nietykłości.

Odezwał się cudnym kontrastem delikatny, kameowy głos Wandy:

— A nie pomyśli pan, że i ja mogłabym tu mieć coś do powiedzenia?

— Już pomyślałem. Pani jesteś kobieta inna — tu zaciął się i wychylił duszkiem całą filiżankę kawy i wyciągnął ku mnie, żeby mu nalać świeżej. Pani jesteś jedną z tych, które z wyżyn przynależnego im tronu spadają zwykle w ręce durniów, dlatego żeby można było koronować durnice.

O panią się nie boję, że skrzydła opalą ci się w miłości i że sta-



niesz się jak pelzająca gąsienica; ani że w zmęczoną górnem bujaniem wejdzie nagle nieczysty dyabeł Belfagor i zakwyczy tęsknotą do wiarołomstwa. Giano może się nie bać, że twoim pocałunkom i pieszczotom skryte dno jego duszy wtórować będzie jękiem: oto przyszła ostateczna samotność, oto zeszło na mnie najwyższe sieroctwo. I na pewno nie zdarzy się, że gdy będzie brzemienny myślą i dążeniem, zaczniesz go nagle chłodzić głupią figlarnością zefiru albo jałowić samumowem tchnieniem pustyni.

Był uroczysty, wierzący w swoje jasnowidztwo i skrycie gorzki. Nie przerywaliśmy.

— A Giano co na to powie? — zwróciła się do mnie Wanda zbudziwszy się z odrętwienia.

— Giano gotów poważnie o tem pomyśleć — odrzekłem.

— Będzie to pierwszy ślub, który nie pokala ołtarza — już ciszej zakończył Piotr głosem, w którym drżało wzruszenie.

Milczeliśmy bardzo długą chwilę.

Do pracowni mojej — po kilkodniowym deszczu — zajrzał promień słońca, zajrzał i wnet, napotkawszy jakieś szkło, przełamał się i rzucił na jakiś szkic drgającą tęczę.

Oświetlił mi jakby na prośbę zaczęty krajobraz, do którego potrzeba mi było właśnie dobrego światła.

Chwyciłem pędzel i farby, żeby zamarkować czempredziej te tony, po tysiąc razy notowane a zawsze kuszące, — promień zrzędnał, linie jego na płótnie i na podłodze rozpląnęły się, zczezły, tak żywo i — niemal człowieczo chytrze i zręcznie, jak przybrany sztucznie wyraz na twarzy dobrego aktora. I znowu posepnie i szaro.

W parę minut rozjaśniło się znowu. Wpadł promień i rozłożył się już nieco opodał poprzedniego miejsca, -- znowu tęcza i — zaraz potem zaciągnął na się leciuchną przeczę szarości.

Czatowałem nań, jakby tu dopominał się go ktoś ważniejszy niż tuba z farbami, jakby go wyglądało życie.

Bo czyż właściwie nie szukam go od wielu miesięcy? Gram z nim w gonitwę. Zabiegam to na prawo, to na lewo, to wstecz się podaję — promień ucieka. Widzę na jawie już prawie tak samo fantastycznie jak

KE. B.

we śnie — to czmychanie i wymykanie się świetlnego smugu. Pędzę za nim całe mile — już, już dopadam, chwytam, obejmuję... Podskoczył nagle wysoko, zatoczył dookoła mnie wielki krąg i znalazł się odrazu w przeciwległej stronie.

Psota nikczemna i okrutna. Jakby ktoś wysoko nademną ciskał kulą przywiązaną do nici, długiej od ziemi do nieba, i to opuszczał ją na moją głowę, to jednym poderwaniem zgarniał do siebie.

Teraz myślałem napewno, że go pochwycił w swój uścisk i trzymam mocno — i gładzę wspaniałe jego warkocze.

Czyż może istnieć słońce bardziej królewskie?

Jestto tak naturalne, że ze mnie i z Wandy będzie małżeństwo, a jednak uczuвам jakiś złowrogi w sobie opór, jakby właśnie ono było czemś przeciwnem naturze, wszystkim prawom duszy i ciała. Nie dlatego, żeby się we mnie zbuntował fanatyzm swobody, o nie. Należy się to jego, Mirskiego, ceniom, żebyśmy, wstępując w taki związek, rozniecili w sobie wszystkie niedotłale skry czcigodnych religii w pobożny płomień i złożyli ofiarę wedle dawnych, świętych praktyk i zwyczajów. Jakaśmy go wiedli tam, do wielkiej rzeszy umarłych, uroczycie i ze śpiewem, tak samo wzięlibyśmy na siebie jego milczące błogosławieństwo, uroczycie, wśród śpiewów i modlitw. Inny słyszę w sobie pomruk: mnie nie wolno upiększać rzeczywistości, ludzi Wandy — i nie wolno dawać jałmużny, nie wolno — nie wolno. Narazie kołyszę się marzeniem, że wzrosnie spójnia i komunja i z niej wystrzeli lotos miłości — ale gdy pomyślę, że będę musiał i pracować nad jego wypielegnowaniem, i że może ona tak samo zostanie moją jedynie przez poczucie estetyczne dobrania się pary i przez tradycję przyjaźni, to wnet uczuвам na szyi — żelazną obrozę.

Zostawić resztę ogrodnikowi *jutru* — kiedy *dziś* idzie za mną krok w krok jak cień, kiedy jakieś szepty wątpliwości słyszę, czy *ona* nie żyje naprawdę? Szepty rosną z dniem każdym i dojrzewają i tężeją w potworny krzyk pamięci, że nikt przecie o jej śmierci nie mówił...

Pewnego złego dnia o wszystkim tem powiedziałem Wandzie.

Posepnie było na niebie, szaro i jednostajnie. Wiatr nerwowo poświstywał a na dachu jakiś dymnik z blachy wiercił się i rytmicznie skrzyślał, czasem pomału, czasem opętanie szybko, jakby ktoś się do niego zbliżał i drażnił go; jakgdyby go irytował fortepian czy pianino, na którym jakaś nowa sąsiadka moja wygrywała rozdzierające pieśni.

Gdy zapanowała nad pierwszym napadem cichego i straszego swą bezwolą płaczu, zapytała ledwie dosłyszalnie:

— A czemuś tak poważnie brał wówczas słowa Piotra? To była chwila, kiedy można było odrazu wszystko rozciąć jednym słowem.

— Myślałem, że przez niego przemawiają losy moje. A to mówił mój egoizm i chęć ratunku.

I krwawiąc sobie ręce a jej serce — ułamałem z drzewa przeszłości kilka okropnych gałęzi i jej pokazałem.

Płakała okropnie, bez wstrząsających łkań, bez spazmów, — płaczem, do którego zdawało się, że ją przeznaczyła natura, taki był łatwy, takie źródła, potoki łez wylewała. Z dwu jezior lśniących teraz jak nigdy przedtem, spływały srebrne strumienie żalu.

A mnie tak było, jakgdyby płakała *za mnie*, jakbym to ja płakał jej oczyma. Wcielałem się w jej łzy a myślałem o sobie, o zgrozie swojego egoizmu. Rodzący się poryw szlachetnego postanowienia, mroziły jednak inne, straszliwe oczy, które mnie magnetycznie przykuwały do siebie i do mej małoduszności.

W tej chwili pieśń się wzmogła i zaraz potem przeszła w rozpaczliwe ślanianie się prośb i błagań i usłyszałem nagle pod własną czaską straszliwe, pamiętne słowa:

— Ratuj mię, ratuj!

Wtedy takie same było niebo, ołowiano-bure i posepne i, dziwnym zbiegiem, stalugi tak samo były ustawione.

I prawem jakiegoś naśladownictwa, podłem prawem sugestyi wspomnień, nie zdając sobie sprawy czy to przypadkiem nie jakaś teatralna gra lub historyczne przedrzeźnianie, podbiegłem do niej, do najbiedniejszej z biednych, chwyciłem za rękę — i krzyknąłem szaleńczo:

— Ratuj mię, ratuj — Wando!

.....

Widzę, widzę wyraźnie, to jakiś nadzwyczajny wielkolud.

— Olbrzym, podobny do Klingerowskiego Adama, którego niedawno oglądał niosącego Ewę od wrót rajów... Wziął duszę na rozłożyste ramiona i wdrapał się z nią na urwisko wysokie i stamtąd rzucił ją w dół.

Nie dał jej tak leżeć — uważał — że jest za spokojna.

Podeptaną, zbolałą, podniósł i bezwładną znów zaniósł jeszcze wy-

żej, jeszcze wyżej, na kiel krzesanicowy, a wtedy gdy z odrętwienia wybuchła spazmatycznym płaczem, — rzucił znowu w dół.

Była podruzgotana i wypełniona bólem, który zatapiał jej brzegi, jak wezbrana roztopami wiosennymi rzeka. Czarny gigant odebrał ją, zarzucił na ramiona, chyżo pomknął na szczyt najwyższy i ztamtąd cisnął w dół, — zakreśliwszy olbrzymi łuk, spadła i skamieniała.

Teraz dźwignął zamienioną w głaz, wyteżył wszystkie siły, rozpostarł czarne skrzydła tak olbrzymie, że końcami swymi prawie muskały bazaltowe boki kotliny, wznosił się na wysokość wyższą od najwyższych gór i ztamtąd spuścił.

— Dusza-głaz spadła i rozprysła się w drobne kamyki. Łoskot jej upadku ozwał się przeraźliwym echem w oślizgłych od dżdżów opokach.

A w górze — jakieś dwie blade rozpostarte dłonie, ku niebu zwrócone, ziały pytaniem:

— I cóż teraz — i cóż?

Już nie ma gór ani potwornych baszt bazaltowych. Nad wielką, nieograniczoną równiną jedno wielkie ciemno-błękitne niebo, a pod niem, dwie kurczowo zaciśnięte dłonie biadały pytając:

— I cóż teraz — i cóż?

A potem zaczął wyrastać nad ziemią gmach. Cudne marmury w cokóle, porfirowe kolumny we frontonie, kolorowe serpentyny fryzów nad głowicami, głębokie okna, wieżycy niebotyczne. Zakłęty zamek kryje w sobie ciszę i szczęśliwość, niedostępny ludziom... Z każdego kamienia tchnie spokój — i wyniosła samotność.

Nagle padł wyraźny okrzyk niesłyszalny, napisany w powietrzu, jak myśl, przesączony w mózg z nadmysłowych sfer.

*A niech tam, wszystko stracone!*

Jakby pękł niewidzialny żelazny kościec, skuwający swą mocą czarowny pałac, jakgdyby ktoś nagle odbieżał jakiegoś rusztowania, które trzymał w spojeniu nogą swą, jakby potworny duch nagłej rozpaczycy wionął odrazu w wiązania, jakby gniew obrażonego lub zawiedzionego poraził nagle cudowne kształty — wszystkie człony budowli nagle zachwiały się, zakreśliły długie zygzakowate szamocące się linie od zachodu na wschód, zatrzeszczały w ton jeden wielki, ogłuszający, rozdarty — potem tony krótkie, urwane, coraz szybsze — i wszystko runęło.

W przestrzeni został śmiech.

Ktoś się śmiał strasznie. Śmiech drżał i trzął się niby echo łoskotów walącego się pałacu. Migotał i skrzył się rozmaszystymi zygzakami jak piorun. Może to chichot świadka-widma, które patrzyło na wszystko,

przenikało wszystko; unosiło się nad bezmiarami śmiesznej nadziei i niedorzecznych skarg – bo wiedziało doskonale, że ich nikt nie słyszy i nie słucha.

A potem małało nagle i zcieleśniało się w małego upióra rozmiarów ludzkich, o postaci mgławej i nieujętej, jak senne sofizmaty.

Kto cię ma słuchać – ha ha ha! – kto cię ma słyszeć? Uroiłeś sobie jakieś litościwe uszy. Ha ha ha! Są uszy, ale nie ma nikogo, co by je miał. Cała nieskończoność jest jedną wibracją powietrza i eteru, w które płacz twój wsiąka, wpada jak smagnięcie powietrza szpicrutą. Chłozzczesz ogromy rykami swej duszy – ogromy je – ha ha ha! – łaskawie przyjmują, biorą na swe fale, ponoszą w końce świata, obwożą po wirach planetarnych, w nieskończoność czasu. I tyleż biorą do serca chłostę twych łkań – jak morze brało do serca knuty saperów Kserksowych.

Ty o tem wiesz dobrze, ale nie chcesz być za śmiesznym *sobie*, więc wolisz, żeby ci się zdawało, że tam w górze, jakiś *Ktoś* wypisany złociestemi wielkimi literami rzeczywistego istnienia – słyszy i może... słucha – ha ha ha!

Tyś sam *go* stworzył – przeniósłeś własne swoje uszy w bezmiar i sam siebie słuchasz. Rozdzieliłeś się na dwa istnienia – na Krzyk i Echo – i myślisz, że Echo to ktoś *drugi* – ha! ha! ha!

– Nieprawda – wołam – stworzył się sam, albo istnieje od wieków wieków i pojąć nie mogę chwili, w którejby *go* nie było!

– Stare metafizyczne brednie. Genezis jego nie z ducha, lecz z krzyku, z płaczu twojego. Gdy ktoś jęczy, musi być ktoś, co *go* słucha. Jęk sam dorabia sobie słuchacza a czasem i świadka – oczywiście niewidzialnego, bo ból się wstydzi być widzialnym lub schwytanym na gorącym uczynku płakania.

Jak bezgranicznie zabawnym byłby człowiek, gdyby płacząc, wiedział, że płacze – w absolutną pustkę. Byłoby to jakby bezmyślne, fizjologiczne ziewanie zwierzęcia. Albo byłyby to łyżki kundla, któremu dano zbyt twarde kości do ogryzania – więc biedaczysko tak się krzywi, gdy ścisną gnat bokiem swego pyska, i trzonowymi zębami, że w oczach stają mu łyżki.

Takimi byłyby twoje łyżki, gdybyś nie wymyślił sobie kogoś, co by na nie – pewnie z wysoka bardzo, niby Oko opatrności z poza złotego rozstrzału promieni, patrzył...

Ktoś tam nocą, gdy ludziska posnęli, wyszedł cichaczem za miasto,

na bezmierne pole, i dalejże jęczeć. Ach! taki dumny i wyniosły, że nikt z ludzi go nie widzi, nie słyszy.

Ano widzę przecież wyraźnie. Idzie pocichutku.

Skrada się jak złodziej, i ogląda na wszystkie strony, choć dobrze wie, że go nikt nie dojrzy. Zniknął.

Gdzie się podział? Leży na piasku drogi i wyje, wyje, wyje. Ojoj! jak łka okropnie. To syczy i dławi płacz w sobie, to wyje strasznie i zdaje mi się, że wierzby nade drogą przestały szeleścić, aby się przyjrzeć osobliwemu zwierzęciu, co tak cicho a tak ciągle wyje.

O słyszę go dobrze, nawet znam ten głos. Dobrze zam! Znam go samego od dawna, od tysięcy lat, nawet z imienia. Nazywa się: *Magnes podłości*. To osobistość nadzwyczajna. Całe jego życie na tem polega, że gdzie się obróci, zawsze przyciągnie ku sobie trochę nikczemności ludzkiej. Każdy czeka z główną podłością swoją — na niego, żeby, gdy obnaży serce, pokasać je, gdy idzie blisko cuchnącej kałuży, pchnąć w nią, gdy duszę wyświętaczni jak kościół, wejść w nią z nogami, unurzaniem w kale, ażeby zajrzeć pod czerep, czy nie ma na chwilę złudzenia, i przyponiewierać i do ziemi; przygnieść. Rozpaczliwie bije i macha skrzydłami — ale skrzydła już znużone, pracują coraz słabiej. Zmęczony, okrutnie, potwornie zmęczony, nie może odpocząć — bo gdyby dał sobie na sekundę folgę, nalanoby mu w usta ulicznego błota. Boryka się strasznie, stracił serce i wiarę — odebrano mu wszystko, wszystko, wszystko, a tu jakieś *coś* katowskie każe mu żyć i zabrania nie żyć. Niechby komu pokazał oko zasmucone, niechby wydał westchnienie zbyt głośne! Wszystkie brytany ziemi i nieba obskoczyłyby go w oka mgnieniu.

I oto pewnej ciemnej północy wyszedł — kiedy ludzie gruntownie się pospali — ażeby pierwszy raz naużywać się do syta ciepłej kąpieli we łzach.

Przed kim płaczesz? kto cię usłyszy? Ano, pewnie tam jest Ktoś, od słuchania płaczu. Jużci! Napewno bałwan morski mędrzy jest, gdy się opluwa śliną, niż on, gdy się obaławania płaczem. Prawda i to, że bałwan ma towarzyszków, którzy zgodnie z nim i nawet unisono ryczą — piętrzą się i srożą, a on sam, sam jeden wśród nieprzejrzanych milionów cielsk, szukających celu, celu, ach, tak dawno upragnionego, dla swej zbrodni, sam jeden, Wielki Magnes podłości ludzkiej.

I chociaż nie wolno mu umierać — to przecież możeby umarł nareszcie szczęśliwie, skonałby z samego śmiechu, gdyby był wstanie zrozumieć, *przed kim* płacze. Prześlicznie pękłaby mu arterya sercowa —

gdyby tak spojrzął na siebie z wysokości tej, po której sam ongi się wazył, i obrzucił okiem tę bezdeń głupoty swej. Ale nie – już w górę się nie wzbije – potrafi jedynie posyłać tam kogoś i sadowić go na dyamentowym tronie, ażeby przecież módz tarzać się u czyichś stóp.

Nie mogę się połapać, czy to dłonie jego czy moje składają się do modlitwy. Wysiłkiem się budzę i stopniowo zbieram w swoje posiadanie wszystkie kończyny, bom je przez chwilę czuł jako cudze, obce.

Znowu widzę czyjeś oczy suche, jak łożysko potoku, które nawet zapomniało, jak to szemrały niegdyś jego wody.

Nademną kołują i migocą jakieś perły. Dokoła głowy krążą — oho, trzecia, czwarta, dziesiąta, setna, krocie brylantowych, smutnych, przygasłych... Znikły.

Znów krążą, wyszły z ruchu obrotowego i pędzą wszystkie w jednym kierunku. Dokądże to? Aha — dopędziły jakiegoś małego człeczynę zgarbionego i wszystkie wsączyły mu się w oczy. Idzie taki prawie-garbus z piersią zakłęśłą. Zdaje się, że to ten sam. Podszedł czujność ludzką i wylazł o północy na samotną drogę. Dokoła szemrzą coś ogromne, rozczapierzone główka wierzb, i słuchają go z miną nieco gapiowatą, tępą, tak prawie tępą, jakgdyby były ludzkiemi.

Jemu rzeczywiście dobrze. Poraz pierwszy zrzucił ciężar z bark. Poraz pierwszy od lat dziesiątków. A ma co dźwigać! Właściwie czy dźwiga czy nie dźwiga? Jakaś kupa dzieciaków tłoczy mu ramiona — a po chwili znów widzę ramiona bez niczego — znowu obciążone, jakieś duszyczki słodkie, czyste, anielskie ale bezradne, jak te oto kłosa żyta, które przechodzień podepce, nim żniwa przyjdą. Trzeba je karmić — karmić ich dusze duszą własną, ciągle zasłaniać bezmocne piersią własną, przed — dzikimi bestyami. Jest swoim własnym Krzysztofem, a woda, przez którą przenosi siebie samego na plecach, szeroka, nieskończona, a brzeg przeciwny ciągle ucieka — ucieka. — — Ramiona bołą okrutnie — wyprostować się ani na chwilę nie można — głowy podnieść nie wolno — biedactwa pospadają mu z ramion i poranią się o ostre kamienie.

Więc niech już sobie na tych twardych barkach siedzą — niech je dalej gną ku ziemi. Tylko, aby raz porozmawiać trochę z sobą, zajrzeć w siebie. A tam, w głębi własnego wnętrza ogromne źródło bije słonych łez — Nachylić się niepodobna — perlista, gorąca struga sama wlewa się w gardło.

Udało się. Dzieci, drodzy oprawcy nie widzą, nic nie widzą.

Wierzy przestały szumieć wichrowatymi łbami — słuchają, jak to taki mały człowieczek potrafi tak olbrzymio łkać.

Zgarbiony człeczyna rozdwoił mi się. Widzę jego wielkie zroszone czoło ale na innym tułowiu. Na ramionach nie siedzą mu żalosne sieroty życia. Jakieś inne kształty go gniołą. Stał się jakiś niby odmienny a jednak ten sam. Coś zamąciło jego rysunek. Tylko jak przedtem mężczy go suchość oczów, która mi się przedstawia we śnie niby jakaś plama, niby jakieś wielkie bielmo na oczach.

Wszyscy nań patrzą, urągają, tańczą dokoła jak australczycy przed rozbitkiem, zanim go upieką na rożnie. Wrzaski, szyderstwa, wycia, grymasy ohydnych twarzy, wstrętne giesta.

Z wycia pospółstwa wyłania się dobitnie: Toś ty myślał, że my cię uważamy za zbrodniarza? Ha! ha! A co nam po zbrodniarzach? — z nimi zabawa krótka, a nam trzeba mieć kogoś, ażebyśmy nań mogli plwać, plwać ciągle, tygodnie, miesiące, lata. Trzeba kogoś, coby umiał wydobywać z siebie siły bezgraniczne. Ty sobie możesz wyobrażać, żeś drogocenny szcep winny, żeś o cudnym owocu winogradem, którego gałęzie wyrafinowany ogrodnik rozpiął na białym, lśniącym murze — temci lepiej — dłużej wytrzymasz, dla naszych oczów pastwa dłuższa i smaczniejsza — bo wina w tobie nie widzimy, a jagody oczów twych widzimy dobrze i jak błyszczą przemaganiem się i skupieniem, ażeby się przed nami nie zdradzić.

— Tyś przesmaczna ryba, pulsująca męką!

— Godna stołu Tyberyusza!

— Rzuconyś w ukrop żywcem, jak pstrąg. Delicye!

Słyszę te wrzaski wyraźnie.

Ten chciałby wyc, ale nie wolno! Ale oto noc ciemniejsza niż zwykle — ciżba go nie dojrzy. Oczy obrócił w siebie, w przeszłość, policzył ile tysięcy lat już tak idzie na urągowisko ludzkie. Ale oto wyobraził sobie rzecz nieznaną i niesłychaną, że ktoś stanął przy nim, załamał ręce z litości, nieśmiało wymówił jego imię z taką tkliwością siostrzaną i takim sercem poszarpanem — i wnet uczył pod powieką jakieś palące, drogie ziarno, które na ziemię padło!

Widzę tę kroplę długo upragnioną. Znowu płynie po powietrzu, pełniej, rośnie w olbrzymią kulę wodną, promienista a smutna, wzbija się w górę coraz większa i bardziej tęczowa. — Ogarnia mnie zwykła duszność koszmaru. Chcę kroplę uchwycić, chcę sam się wznieść do niej — szamocę się. Ona już gdzieś między gwiazdami zawisła. Nie mogę dosięgnąć, nie mogę!



Zerwałem się.

Dokąd uleciała słońca wodnista kula?

Czy także przed jakiś tron urojony? Kto ją zobaczy? Czy niebo z twarzą — ludzką, twarzą tatuowaną malaja, chciwie przyglądającego się egzekucyi?

Z nad operlonych łąk, z nad dalekiej czerniejącej smugi lasu wschodziło słońce, takie majestatyczne i wzorowo świetne, jak przykazał stary Testament i pobożni malarze średnich wieków.

We mnie dręcząca pamięć ogromnej krynicznej kuli — przedemną Bóg-słońce. Z ryku ludzkiego urodził się Bóg, jak z fali morskiej Afrodyta. Z płaczu pod namiotem wstydu — pod tarczą obawy śmiešności — urodził się obraz Promiennego świadka wycia. Filozofia się wyidealnia. — Dawniej, w wieku złotym, świadkami takimi bywali współ-ludzie. Dzisiaj znudziło im się patrzeć na jednostajne widowisko. Przeniesiono świadka wyżej, w górę, nad słońca.

...Na początku był krwawy Płacz a krwawy Płacz zrodził Boga i Bogu temu dał mieszkanie nad mleczną drogą.

Po prawicy jego usadowił Dumę ludzką a po lewicy Srom ludzki.

*Jan Zarycz.*

(D. c. n.)



## Przegląd miesięczny.

„Z JEDNEGO STRUMIENIA.“ WARSZAWA MCMV.

„Utwory w tej książce zawarte, rozpadły się pod ręką na trzy części dość odrębne, W pierwszej stanęły obok siebie trzy postacie kobiet żydowskich, różne ze sobą, lecz tak prawdziwe, że na każdej ulicy i w każdej kamienicy miast naszych, widzieć je może każdy — kto widzieć umie.

Chawa Rubin i piękna córka Symchy, której młodość, jak kwiat pod chmurą, więdnie pod ciężkimi zwojami łachmana, przebywają wśród nas oddawna. „Perła“ jest wytworem czasów nowych, lecz któż o niej nie słyszał? Któż krzykowi bólu, podobnemu do wycia, który się wydarł z piersi dziada jej, Abrama, nie zawtórzył westchnieniem? Jest to dusza upojona marzeniem o raj, zapatrzona w gwiazdy i wpadająca w otchłań.

Część druga, to smagani głodem ciała i ducha nędzarze, którzy staczają się na dno urwisk i ze śmiertelnego znużenia mdleją na skrajach dróg publicznych, którzy baśnią błędzącą po gorzkich ustach, lub kwiatem, rzuconym przez rękę życzliwą, koją głowy dusz, tęskniących w ciałach zwiędłych, brudnych, od łachmanów ciężkich, ku temu, co ma siłę, świeżość, czystość, lot i wdzięk.

Część trzecią otwiera i zamyka Marya Konopnicka.

Z blizka tylko przyjrzeć się trzeba, aby odkryć pokrewieństwo blizkie między „Mendlem Gdańskim“, a „Srulem z Lubartowa“. Chętnie też u początku tej części umieścilibyśmy rysunek, przedstawiający „stolicę mrozów“, Jakuck, a w niej izdebkę, pełną takich tęsknot, które podobne są do wycia, a w tej izdebce dwóch ludzi, którzy razem tęsknią, wspominają i płaczą.“

Tak określa układ tej osobliwej książki, książki niezwykle grubej i ciężkiej, kwa-

dratowej, jakby jaki Stary testament — Eliza Orzeszkowa w przedmowie do niej, z kądem dowiadujemy się, że pod jej opiekuńczym skrzydłem — wspaniałem, wielkiem skrzydli-  
skim anioła stróża — związał się ten szczególny psalterz.

Szesnaście nowel: Orzeszkowej, Konopnickiej, Świętochowskiego, Gomulickiego, Ad. Szymańskiego, Kl. Junoszy, Feliksa Brodowskiego, G. Daniłowskiego, Wandy Daleckiej, Kazimierza Zdziechowskiego.

Jeszcze raz: osobliwa książka. Pewnie monotonna? Juźci — bywają bardziej pstre. Ten jeden strumień toczy się przez 420 bitych stron.

Przytem przeważnie znane rzeczy: „Silny Samson“, „Mendel Gdański“, „Gedali“, „Łaciarz“, „Srul z Lubartowa“, „Cud na kirkucie“. Kto tego nie czytał?

Rzeczywiście nie lekko jest na sercu, gdy się wyczytuje te karty. Powiedziałbym nawet: niebezpiecznie — przychodzi na człowieka zmora nie zmora — stado harpij, czarnych kruków, żaloby, pisk białych mew smętku, chłoszczące grady wyrzutów sumienia. Zasklepić się w tej księdze, to jakby, nieprzymierzając, zostać zamkniętym na noc w kościele, do którego przylega stary wiejski cmentarz, gdzie wszystko złowróźnie gada i straszy, a każdy szelest zda się wyciem upiorów, gdzie szemrzą modlitwy nieboszczyków, wielka zgroza uciska serce i więzi boleśnie struchlały u powieki płacz.

Ale to trwa nie długo. Tu wszystko mroczne dzieje się jak gdyby przed samym brzaskiem i niedaleko pierwszych zórz. Jeszcze chwila — kur zapiał, przychodzi rozświt i dzień i słońce. Światło jest jakby tylko zaczajone w tych opowiadaniach: dobroć, miłosierdzie, prawda, sprawiedliwość, czuwają nad nimi. Po przeczytaniu, rozdarcie i rozdźwięk przetapiają się typowo arystotelicznym procesem w ukojenia, sympatyę, nadzieję. Z wrażeń negatywnych wyfiltrowują się dodatnie czucia jakiegoś niewysłowionego zado-  
sycucznienia, jakiejś przebłogiej restytucji.

A czasami — jeszcze coś wyższego: czar najczystszej poezji, nietylko tej poezyo-  
sztuki holenderskich rodzajowych obrazków z ich zaciszem, swojskością, poufnością zna-  
nych dobrze zsiadłych typów, z tem wszystkiem, co sprawia, że nawet niebo wydaje się dachem znajomego domostwa, lecz często i z tego twórstwa idealnego i mistycznego, co to z jednej sceny czyni etap, chwilowy popas, na drodze od wieczności w wieczność, od bezkresów w bezkresy, i kędy na drobnym atomie jednego życiowego zdarzenia lub sko-  
jarzenia osiadają refleksy dalekich gwiazd, całych filozofij, wszechludzkich marzeń, za-  
mierchłych legend, Hezydowych hymnów o narodzinach świata i Safickich ód tę-  
sknoty.

Jest coś imponującego w tym widoku, jak kilkanaście duchów rzuca się na pra-  
starą twierdzę. To jakby wybrany jaki zastęp, pierwszy szereg wschodnich wojowników ze szczerozłotymi hełmami i w puklerzach, w których się odbija lite słońce.

Wielkie głowy, wielkie serca, mądre przestrogi, bystre nauki, krwawe ironie, by-  
stre alegorye, a nade wszystko poryw niestrzymany uczucia.

I olbrzymia też skala rodzajów i sposobów przemawiania — od publicystyki gwał-  
tem ale czujnie i zręcznie wtłoczonej w kunsztowną formę dzieła sztuki — do naj-  
czystszej perły, wyłowionej z odmętów poezji. Artystycznie więc są to rzeczy różnej

miary i wartości — ale ciekawe przez ową prawie powszechną w nich chęć — ratowania, wskrzeszania, przywracania czci, dawania schrony i obrony.

Każdy postąpił wedle swej indywidualności. Więc Świętochowski wysmagał i krwawo wydrwił w mordercy Chawy Rubinowej — samorodny, sielankowy, jeśli tak rzec można, antysemityzm parobka, który w ten sposób wyraża swą iskrę bożą i pęd do akcji na polu zwalczania konkurencji żydowskiej. Jest to tonacya *dur*, mimo wszystkie tkliwe apostrofy i miękką dłoń przy malowaniu biednej listonoszki. Nie bardzo jakoś może się roztkliwiać wielka i potężna głowa Okońskiego — tam gdzie się rozpiera zuchwale drapieżna bestya ludzka i gdzie ona płaczkliwie skarży się na swoje wydziedziczenie przez chałatowych głodomorów.

W cymbałki uderza Gomulicki : artysta plastyk, flamand, stylowiec, rodzajowiec o lekkim przyśmiejchu, poeta „cudnych mieszczek“ polskiego odrodzenia i malarz scen charakterystycznych. Czytając go, nie ma się nigdy pewności i spokoju: a nuż jakiś zgrzyt „zmąci tony“ ale nie ową wielką myślą największego z cymbalistów — Jankiela, lecz niegodnym wielkiego talentu zakrętasem sofistyki partyjnej, lub echem osobistych goryczy zdradzieckiem i niepohamowanym.

Jak skrzypiciel z chłopskiego wesela, gra dobrotliwa dusza Klemensa Junoszy. Można się nie bać chłodu jego czysto folklorystycznej ciekawości, z którą studjuje język, obyczaje, typy żydowskiego pospólstwa, i jego szlacheckiej szerokiej natury. W końcu zawsze zwycięży przecudne ciepło misternego Łaciarza i czyste, artystowskie poszanowanie dla cudów kirkutowych, fantastyczności i ballad starego Izraela.

I — dla zwięzłości — jeszcze parę przypomnień: o poetyckiej zadumie Brodowskiego nad różą jerychońską — córą Symchy, którą marnie zdeptano, o tem piorunującym prerażeniu i wstrząsającej nawałnicy wzruszeń, z jakimi nagle obaczył Szymański, że Sruł z Lubartowa tak samo tęskni za krajem rodzinnym jak on, o symbolicznem urwisku S. Daniłowskiego, z którego staczają się w otchłań w zapamiętałej bójce łachmaniarz żyd z nędzarzem nie-żydem, o ponurej i żalostnej marzycielce — Perle K. Zdziechowskiego, i jej trawiących rozmyślaniach nad nędzą, nienasyconą ofiarnością, głodem poświęceń, bezlitosnem spędzaniem twardych z drogi gnuśności, bagien samolubstwa.

Udział auterek w tej książce należałoby właściwie zbyć kilkoma słowy — jeżeli się nie chce poświęcać im wielu kart. Jest to cały temat, który trzeba albo tylko musnąć albo zanalizować do głębi.

Orzeszkowa, Konopnicka i podobna do niej sposobem ujmowania przedmiotu Dalecka — niby osobna grupa, różnią się od poprzednich — grupa w tym wielkim i żalostnym turnieju zwycięzka. Zwyciężają: ogromem i szczerością uczucia, całkowicie, bez zastrzeżeń, bez publicystycznej równowagi, oględności i wszelkich nieuniknionych relikwij pozostałych po Piłacie — bez sprawiedliwego rozważania wszystkich pro i contra, osłaniają sobą żydów. Jest to *cor cordium* kobiece, wybuchające bezwzględnem oburzeniem, bezwzględnem spólcuciem, bezwzględną miłością. Jakoby świadomie — ponad rozum stawiają serce, szlachetność, zdecydowaną i nieograniczoną. Dlatego nie ma u nich nigdy chłodu, ani konceptów, nie ma tego, żeby między słowa ciepłe i kochające — wplatać ukłócia i drwiny — *które zawsze boją*, nawet gdy są baraszkowaniem, nie ma tego, żeby popęd humanizmu wetować sobie zaraz maleńką bodaj przymieszką...

hamanizmu. I nie są to nowele z tendencją rehabilitacyi. Serce tych kobiet jest za wzniosłe, żeby suponować potrzebę rehabilitacyi — na banalny, uliczny schemat: „patrzcie, a ja myślałem zawsze, że żydzi“ i t. d.

To znaczy czuć subtelnie i szczytnie. A gdzie taka wyraźna, zdecydowana, jasna tarcza, karząca jednych a zasłaniająca drugich, i wyższy dyapazon, — tam jest i materiał artystyczny. I tu oto klucz zagadnienia: w jaki sposób temat z rodzaju dość powszednich, naziemnych, skoligacony tyłoma węzłami z publicystyką i moralizmem — wychodzi z pod pióra Konopnickiej i Orzeszkowej czysto artystycznie, u pierwszej — podobnież i w „Nowym Abrahamie“ Daleckiej — gorzko, z ledwie powściąganym gościem bolejącej Nioby, u Orzeszkowej przesłodka elegijnie i proroczo. Mendel Gdański, któremu „umarło serce do tego miasto“, to okropne i wysoce kunsztowne rozwiązanie całego supła noweli, a stary zegarmistrz z „Ogniw“ Orzeszkowej — to smutny ale słoneczny, dobrotliwy dzień jesienny, który tchnie przedwieczną żalobą i Salomonowem potrząsaniem głową nad znikomością rozdwojeń ludzkich i życia ludzkiego.

Konopnicka *weszła* między swoich bohaterów, poznała, odczuła, — Orzeszkowa *zna ich oddawna*, zespoliła, zżyła swoje uczucie z ich uczuciem, i pisze — o daruj wielka autorko taki *epiteton ornans* — jakby była żydówką. Jej psychologie żydów nie są nowemi spostrzeżeniami, odkryciami — nie, to jakiś żywioł tak jej swojski, tak go traktuje spokojnie i zawsze z jednej tonacyi — cudnego miękkiego marzycielstwa i przymierza. Przedziwni są ci dwaj starcy biali jak gołębie: hrabia i Berek — którzy zaślęczeni się nad szacownym zegarem antykiem i wspominają lata swego sąsiedzkiego dzieciństwa. Zegary dookoła wybijają niby to godziny — a właściwie wieczność, i wkrótce wybiją im najwyższą spójnię — śmierci. Jest tu taka *species aeternitatis* jak w jakiej rozprawie astronomicznej Proktora, który przyrównywa właśnie do zegarów globy niebieskie.

W warszawskim zaścianku zaludnionym przez milion ludzkiego mrowia, pstryknęła myśl, że „Z jednego strumienia“ powstało dla walki z Syonizmem. Myśl robacza — godna „syreniego grodu“, myśl wyszła z tego samego gniazda, która nie widzi nigdy wyżej trawki oślinionej przez ropuchę i w społecznikowskim zaślepieniu trywializuje wszystko wielkie i szerokie do rozmiarów „bieżącej“ kwestyi. A tu właśnie, jakby na przekór, pałają jarzące słowa Orzeszkowej, w których ani rusz, dopatrzeć się nie można komarowego bzykania.

Postuchajcie:

„Kimkolwiek i czemkolwiek jesteśmy, wszyscy nieodzownie będziemy liśćmi strąconymi z drzewa życia i jedno wspólne niebo, różnic wśród nas nie znające, jednym ogniem skuwa wszystkie na ziemi cmentarze.

Wszyscy stoimy nad brzegami urwiska, wszyscy w znaczeniu jednym jesteśmy, a w innym będziemy strąconymi liśćmi.

Wszyscyśmy przeznaczeni do utęsknionego wznoszenia oczu ku złotym gwiazdom, gdy stopy nasze zawieszono są nad otchłaniami.

Wszyscyśmy przeznaczeni do pościgu za urzeczywistnieniem ideału, który — kto wie? czy kiedykolwiek urzeczywistnionym zostanie i w tym pościgu jest wspólna nas wszystkich dostojność.

A że pościg tak długi, jak wielki, że krwawią się w nim drżenia nasze i pękają

serca, że — kto wie? czy cel pościgu kiedykolwiek osiągniętym będzie, w ten wspólny tragizm naszej doli”.

Ach tu raczej za wiele kosmicznej wiekuistości, niż komicznej aktualności. Prędzejbym miał żal do Orzeszkowej, że wielkie słońce Bohatyrowiczów, które jej przyświeca nad Niemnem, tu weszło takie smutne i melancholijnie sposobiące się do dalekich, zbyt dalekich perspektyw zagrobowego pielgrzymowania.

Ów pierwiastek patetyczny, cierpieniowy — jest w tej księdze właściwie wszystkim, rozumem i istotą. Wszystko inne — piękno zewnętrzne, kompozycja, psychologiczne finezyje — maleją ostatecznie do znaczenia drobiazgów, zapewne wbrew intencji każdej noweli zosobna a za sprawą zszeregowania ich i ułożenia w planowy cykl. Oto przewijają się drobne rozróżnione obłoczki — nad nieprzemijającym padołem płaczu. I niczem nie odpędzisz domysłu, który wali do wrót twej duszy, że to owo wielkie nieznośne *pathos* odpycha ludzkość od takich obrazów i takich ludzi, bo przeraża, dręczy, zawstydzają i zarumienia.

W ujęciu i wypisaniu tego gnębiącego godła ogniewymi zgłoskami, tkwi jedyny moment aktualny, mądrze aktualny: autorzy książki snadź nie łudzą się, że już nastało jedyne stado i jedyny pasterz, ale dobrze wiedzą, że jest dużo — dużo stadowości i dużo pastuchów — w ocenianiu wysokich zalet i cnót naszego społeczeństwa. Nie ogarnęła ich snadź mania okrywania zięjących chorych kłamstw złotogłowiem tkanym z frazesów i fryzyerski zapal w różowaniu szlachetnego oblicza rzeczywistości.

Więc wołę nie zozydzać tej dokumentowej seryi przyklejaniem godła t. z. asymilacji lub czegoś podobnego. Ponad wszystkie programy i stronnictwa wznosi się człowiek i wznosi się idea ludzkości. A najszumniejsze tradycje myśli historyczno-politycznej nie ostoją się wobec prostej prawdy wszechludzkiego ideału — choćby za niemi głosowały wszystkie szowinizmy, wszelkie narodowe wybraństwa i samozwaństwa.

Dzieło sztuki i dzieło wielkiego patosu jest zawsze z natury swej dalekiem od znachorstwa. Tragedya żydowska — która naiwnym i obłudnym wydaje się tylko tragedya żydowskiego proletariatu, — to straszne błędne koło. Z niej jak z górskiej kotliny zaprzepaszczonej, omurowanej dokoła niebosięźnymi basztami ludzkości i nieludzkości — wyjście niezmiernie trudne. Być może, że rozwiązanie będzie dopiero wtedy, kiedy żydzi znikną pod usypiskiem zwałów skalnych, które z owych szczytów otaczających Wierchcichą — stoczą się pod parciem jesiennych huraganów i wiosennych potoków, miażdżąc i druzgocząc, aż dno kotliny stopniowo się podniesie i — po upływie stuleci — zrówna się z poziomem swego granitowego ocembrowania.

Takł powolny z piorunowych wstrząśnień skomponowany proces geologiczny nie byłby wcale okrucieństwem w oczach dziejów przyrody, której sentymentalizm jest również obcy, jak człowieczeństwu.

Kto napisze o tej niewiadomej przyszłości księgę sybillińską?

Być może, że prawdziwie wróżą tacy antropologowie jak np. Spencer: że przez łączenie się rasy szlachetniejszą i wszystko co jest dobrego w dzisiejszej cywilizacji — zawdzięcza swój byt ciągłym krzyżowaniom.

Być może, że geniusz polski połączy się z geniuszem żydowskim i wyda rzeczy arcydzielne — ale być też może, że sarmackość połączy się niemniej szczęśliwie z firu-

kesostwem żydowskim i wyda arcydzieło neutralności. Jest to, sądząc według tego co już było — na szczęście — mniej prawdopodobne.

I być też może, że nie jest to znów taka pusta doktryna nieżydów, ażeby żydzi nie kwapili się z doszczętną asymilacją, zwłaszcza z wyzbywaniem się cech swej umysłowości, że nie zawsze to co zyskują warte tego co tracą. Nie jeden wszech- albo jezupolak zrobiłby może wielkie oczy, gdyby posłyszał, co o tem mówią niektórzy z najpiękniejszego odłamu naszych poetów. Dawno nie słyszało się słów tak górnych, wytrysłych nie z przezroczyściego ale ogólnie przystępnego źródła miłosierdzia albo litości, lecz z chmurnych zamyśleń nad tratowaniem bogactwa ducha w ogóle. Dla Pieńkowskiego żydzi zamilkli i odeszli z widowni — ale zamilkli i odeszli, jak Eschylos po stworzeniu wielkiego dzieła, a Micińskiego „Gwiazda zaranna“ (Matka Boska) pociesza nieszczęsną córę rabina przedziwnymi słowy, uroczystymi jak proroctwa Izajaszów, wonnemi i słodkimi jak patoka biblijna, śpiewnemi jak harfa Zacharyasza, wieszcząca zwycięstwo duchowi nie sile: „Otrząśnij mu (ojcu) nad skronią kwiatuszki, zwane od moich łez — a obudzi się patriarchą — jak gdy ugaszczał Jehowę w namiocie“

Tak samo mocne są i — dziwnym zbiegiem — najpełniej obrylantowane natchnieniem te pieśni Żuławskiego, któremi wchodzi w komunie z poezją starego zakonu: (Księga Koheleth, Widzenie Echeskiela i in).

W takich odzewach i fenomenach można, jeżeli kto chce, dosłuchać się czegoś w rodzaju chrześcijańsko-polskiego syonizmu. Ale nie tego syonizmu, co polega na cudotwórstwie i na sprycie w przeważnej — a na dobrej wierze tylko w małej, maleńkiej części, nie — syonizmu, co pochodzi od wielkiego słowa Syon, a nie od jego anagramu „Nosy“, dobrze węszące, bystre nosy; tam czciciele ducha i wielkich cało-szczepowych umysłowości, pragną, ażeby zostało sobą to co, stworzone, ażeby było sobą, ażeby nie zubażać ludzkości i skarbniicy ducha i umysłu upraszczaniem, zlewaniem, wykreślaniem, wytipianiem, ścieraniem, banalizowaniem, „bo świętym jest wielki ogień“ („Noc rabinowa“). Niech z chropawych kłoców nie robią się ociosane we młynie międzynarodowym kostki na bruk, albo gładkie polerowne płyty na schody dla pałacu powszedniości i miernoty.

To mówią — poeci, artyści, a więc marzyciele, kustosze, konserwatorzy wartości przeciw zwietrzającym wpływom czasu, lecz któż jeśli nie oni mają roztrząsać sprawę ducha i powszechnego piękna? Czy nie jest najwyższem w pracy narodów, to, co one dają z ducha swego, z fantazyi, ze swoich legend i widzeń Boga, ze swych religij i systemów etycznych? Czy nie to właśnie są byty wiecznotrwale, niespożyte — a nie owe porządki prawne, ustroje społeczne i polityczne, które zawsze rosną same przez się, naturalnymi sokami rozwoju odżywiane, podległe prawom powszechnego, nieuniknionego pochodu nadorganizmów?

Słowem, drogi rozwiązania tych problematów giną w dalekich perspektywach, możliwościach i rozgałęzieniach perspektyw i oko krótkowidza ich nie ogarnie. Ztąd się rozkwiera widok na nieskończoność.

Wybijam szybki i galopujący takt szczerości — nie utrzymają się w nim wyranżerowani śpiewacy: mieszczański estetyzm, elegancka obojętność dla nędz ludzkości, śluby wzajemnych okłamywań, nieruchoma obywatelskość mumij.

Może widmo bolejącej prawdy zacznie nareszcie pokutować po sypiących się ruderach, gdzie mieszka salonowe oficjalne dworactwo, i może przepłoszy tchórzliwe, ubożuchne, latające, kłaniające się, etykietalne, słodkie pigmeje.

Widma tego nie wypędzicie żadnymi egzorcyzmami. Tu darmo – fatygować krzyż. Widmo stoi nieulekłe, otoczone i strzeżone przez wielkie, męzne, dumne straże Orzeszkowych, Konopnickich i Świętochowskich.

Cezary Jellenta.



#### ZYGFRYD WAGNER. – BRAHMS. – PIEŚNIARZE.

Kiedy cielesny spadkobierca Ryszarda Wagnera, Zygfryd Wagner, starał się o tytuł szlachecki, cesarz niemiecki miał się odezwać: „Lieber ist mir „Siegfried“<sup>1)</sup> von Wagner als Siegfried von Wagner.“

Nie wdając się w to, o ile prawdopodobną jest tego rodzaju zwięzłość w ustach niemieckiego monarchy, który w dodatku nad wszelkich w ogóle Wagnerów przekłada widocznie Leoncavallów („Roland von Berlin“) – powiedzmy sobie, że owo bon mot dobrze charakteryzuje doniosłość roli, którą odgrywa w muzyce Zygfryd Wagner.

„Nie o tem chciałem mówić (słowa jednego z oryginalniejszych pisarzy, Ottona Weininger, ogłoszone niedawno po przedwczesnej jego śmierci) dlaczego muzyka Wagnerowska wszelkie inne wrażenia sztuki przewyższa, nawet Goethowskiego Fausta i Beethovena „Waldstein-Sonate“ i nawet Preludya Bacha i nawet Jeremiasza Michała Anioła. Chcę się pokusić dowieść czego innego: oto że dzieło poetyckie Wagnera jest co do głębokości koncepcji największem dziełem świata.

Są to najpotężniejsze zagadnienia, jakie kiedykolwiek wzięte były za temat artystyczny, donioślejsze niż problemy Eschylosa, Dantego, Goethego, Ibsena i Dostojewskiego – nie mówiąc już o problemach Szekspira.“

Jest to przesadny jedynie i bardziej entuzjastyczny wyraz tego, co czuje dziś lub uczuje niebawem każde jako tako muzyczne indywiduum.

Cóż dziwnego, że zobaczyć bodaj nikłą *proles* takiego pnia już jest rzeczą ciekawą?

Koncert symfoniczny pod batutą Zygryda Wagnera przedstawił go nam jako bardzo dobrze ułożonego i dystygowanego ambasadora dworu ojcowskiego. Wielki nieboszczyk nie protestuje przeciw temu – z przyczyn łatwo zrozumiałych. Nominację podpisała królowa-wdowa i zarazem rejentka w olbrzymim państwie spraw Wagnerowskich. Repertuar miał zupełnie charakter reprezentacji dynastycznej: Liszt – uwertura Orfeusz, jedna z najlepszych, najwięcej skupionych i wewnętrznie poważnych, Zygfryd

<sup>1)</sup> Tytuł wielkiego poematu symfonicznego, który twórca Parsifala napisał na cześć urodzin swego syna Zygryda, a także całego dramatu muzycznego z cyklu Nibelungów.



Wagner — wyjątki z opery Kobold i inne, których tytułom wolno — ze względu na splendor i przywileje rodu — wypaść z pamięćsprawozdawcy, i Ryszard Wagner: Tannhäuser, Marsz żałobny ze Zmierzchu Bogów i Meistersingerzy. Kompozycje własne koncertanta ujawniają absolutną niezależność od wpływu ojca, tak pod względem rodzaju jak i wartości muzyki, i raczej dostrzedz w nich można wpływy opery włoskiej, szkoły wiedeńskiej Straussa oraz dużo znamion całkiem z gatunku *enfant trouvé*. Natomiast jako kapelmistrz, Zygfryd Wagner posiada dużo zalet: zna doskonale partycje i dyryguje z pamięci, co zawsze zapewnia wykonaniu płynność i swobodę. Technicznie — jest spokojny, książęco powściągliwy w ruchach i również książęco *reservé* w wyładowywaniu temperamentu i ducha, co tem łatwiej mu przychodzi, że nie jest nimi obdarzony w stopniu niepokojącym. W Tannhäuserze — rezerwa ta przeszła aż w ospałość, wprost rażącą, tak że chwilami można było mniemać, iż dyrektor nie bardzo rozumie tragiczny i pasjonowany charakter romantycznej pokusy i Venusbergu.

Na ogół była to interpretacja (czy nie za mocne słowo?) nacechowana spokojem i dobrym smakiem, bez pretensji do oryginalności lub indywidualności.

♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫

Z drugiego słońca bóg, tamtemu przeciwny, Brahms, poraz pierwszy w Warszawie ukazany został w powadze całego, specjalnego wieczoru. „Ciężki, filozoficzny Brahms“ — nie ma określenia bardziej niedorzecznego i kłamliwego, a przecież ono to kieruje i rządzi nami w stosunku do tego wielkiego artysty z artystów. To nie filozoficzność, tylko refleksyjność i medytacja liryczna; to jedynie równomierne rozprowadzenie żywiołu melodyjnego i harmonicznego, tak że w linii symfonicznej nie ma tematów górujących i przeznaczonych z natury swej do tego, żeby w pewnych miejscach porwać, skupić i uwagę słuchacza pochłonać. Wagner jest daleko łatwiejszy, bo intensywniejszy i dynamiczniejszy i jednym nieraz lapidarnym tematem, jak latarnią oświetla całą drogę. Brahms wymaga wnikania uważnego i czujnego i suponuje w słuchaczu umiłowanie czystego frazesu muzycznego, bez udziału dramatyczno-teatralnych symbolów i postaci, złożonej gry ludzi, bogów i natury. Wagner szturmuje niebiosą gwałtem, naporem, katastrofą, kataklizmem, Brahms nic nie zdobywa i nie przebija — tylko głęboko lirycznie i wytwornie — bez uniesień, ze swobodą i dystynkcyą wielkiego pana, z bajeczną ła-twością Celliniego cyzeluje w kruszcu czystego śpiewu. Symfonia III jest wstanie oczarować bogactwem rysunku, i okrągłością i szlachetnością, z jaką z frazesu wywija się frazes. Wartość dramatyczną — żeby nie zostawić na sobie kantów i wybuchów, przetopiono tam w ducha złotopłynnej liryki. Wszędzie króluje prostota, która jest tylko doprowadzoną do doskonałej harmonii misternością. Jak wszelkie wielkie tematy muzyczne — i te, Brahmsowskie są ostatecznymi formułami pewnych muzycznych czuć, są muzycznymi faktami, które jako takie, nie mogą przebrzmieć, lecz stopniowo wdrażają się w nas jako części składowe, nieusuwalne, naszej muzycznej świadomości. Pod względem niebanalności i nieprzystępności osłuchaniu — Brahms jest chyba szczytem między muzykami najnowszymi. Proszę mi wskazać drugiego, którego motywy i ich snucie również zyskiwałyby, również oczarowywałyby z *czasem*, również wciągały nas stopniowo i odsłaniały urok i bogactwo, zupełnie przy pierwszym słyszeniu nieprzeczuwane. Czarodziej-

ski dar objawiania przez czas, uwagę i wglębianie się — jest bodaj mocą przedewszystkiem Brahmsa. Żąda on wtajemniczenia i wtajemniczonych nagradza po królewsku.

Wszystkie te skarby wystąpiły w Sonacie na fortepian i klarnet nieco ogołoczone z noblessy; klarnet nie jest równym co do dystynkcji Brahmsowi. I być może, że chodziło tu świadomie o wyszlachetnienie tego instrumentu i wystylizowanie tkwiącej w nim pewnej gminności. Taki proces napotykamy raz po raz w pieśniach Brahmsa — między którymi obok tematów całkiem literackich, jak Oda saficka lub Cmentarz Liliencrona (obie wykonane na wieczorze pieśni przez dr. Konrada Zawiłowskiego) albo dwie pierwsze pieśni z opusu 105 — jest mnóstwo osnutych na strofach ludowych, co prawda wybranych z najwyższem znawstwem i cudownie ułożonych. Np. „Vergleichliches Staendchen“, „Am Sonntag Morgen“, „Klage“, Pieśni cygańskie i inne.

I otośmy dotknęli najwyższego piękna. Pieśni Brahmsa to — mikrokosm wielki dramatów i wielkich poematów. To dla słuchacza nowy okres życia — a dla śpiewaka — nowa epoka. (Ani jednego ani drugiego nie ocenia ani pani Gembarzewska, ani pan Zawilowski). Już nie mówię o wprawienie samej pieśni w kunsztowną oprawę tak zwanego akompaniamentu, który jest tu czemś niedościgle uzupełniającem braki mowy śpiewanej, tkaniną muzyczną wzruszającego wprost uroku — tu każde słowo jest ważkie jak kwintesencya dramatu, liryki, lub charakterystyczności. Tu każde słowo tekstu, podniesione przez muzykę do potęgi, do grozy, do oczarowania, do fatalności, tak trafia swą nutą w najdotkliwszy rdzeń zamierzonego uczucia, tak je wypowiada centralnie i osiowo, że odrazu zarysowują się w pamięci — jedyne godne stać obok nich — a przecież całkiem odmienne asfodelowe pieśni Szumana.

(d. n.).

*Euzebiusz.*



# BIBLIOGRAFIA.

## NOWE KSIĄŻKI.

- Edward Słoński.** „Okruchy“. Wilno. 1904.  
„Pieśń nad pieśniami“. Warszawa. Księgarnia M. Borkowskiego  
1905.
- H. Leszczyc.** „Na wsi“. Warszawa. M. Borkowski. 1905.
- Wacław Nałkowski.** „Jednostka i ogół“. Szkice i krytyki psychospołeczne. Kraków  
Nakładem Ursyna Czatowicza. 1904.
- Stanisław Brzozowski.** „O Stefanie Żeromskim“. Studium. Nakład G. Centnerszvera  
i S-ki. Warszawa. 1905.
- Michał Mutermilch.** „Żydzi“. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1905.
- Aleksander Kraushar.** „Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk (1800—32)“. Księ  
ga III: „Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie przedostatnie (1824—28)“. Monografia  
historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1905.
- Rudolf Penzig.** „Jak odpowiadać na pytania dziecięce“. Tłumaczyły z niemieckiego Zo-  
fia Rotszajnowa i Marya Lipska. Warszawa. M. Borkowski. 1905.
- Ellen Key.** „Miłość i małżeństwo“. M. Borkowskiego. Warszawa. 1904.



## Odpowiedzi od Redakcyi.

---

*Paniom Bag.* Oświadczamy *kategorycznie*: Savitri nie mieszka w Warszawie, lecz w Petersburgu i jest *kobietą*.

*Panu Kl. w Helsingforsie.* W rzeczy samej pomysł do okładki nasunęło nam „Ateneum“ Helsingforskie z medalionem tłoczonym Minerwy, gdy nasz medalion, przerysowany z monety greckiej, przedstawia symbolicznego ptaka Ateny (grecka Minerwa). Stamtąd też wzięliśmy z małemi zmianami i format. Pismo samo nie było u nas znane; paru egzemplarzy użyła nam jedna z firm warszawskich, reprezentujących papiernie finlandzkie i u niej też początkowo zamówiony był papier Ateneum Helsingforskiego. Są to okoliczności zbyt łatwe do sprawdzenia, woleliśmy jednak nie odpowiadać na plotkę warszawską, w tem przekonaniu, że plotka jest — stugłową.



Warszawa Fabryka Perfum

Fryderyk DUKS

OGŁOSZENIA

PERFUMY

MYDŁA

WODY KOŁONJEE

Właściciel: Fryderyk DUKS

Warszawa, ul. ...

OGGOSZENIA



Adres. teleg.: Puls—Warszawa.

ROK ZAŁOŻENIA 1852.



AKCYJNE TOWARZYSTWO

Warszawskiej Fabryki Perfum

**Fryderyk PULS**

w Warszawie.

POLECA:

**PERFUMY** Exquis, Wedgwood, Orchidée, Viola Nostra, Marie Antoinette.

**MYDŁA** Wedgwood, Moderne, Viola Nostra, Marie Antoinette, Peau d'Espagne.

**WODY KOŁOŃSKIE** Royale, Holenderska, du Monde élégant

Fabryka nagrodzona licznymi medalami na wystawach krajowych i zagranicznych i **DYPLOMEM HONOROWYM** na Wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie.

WYROBY PULSA DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE W LEPSZYCH PERFUMERYACH I SKŁADACH MATERIAŁÓW APTECZNYCH.

Skład Główny: Plac Teatralny Nr. 11.

Filia: Nowy Świat Nr. 41. « « « « « « «



# M. Mankielewicz.

Fryderyk Pułs

Warszawie

WOLFA  
 PIERUMY  
 MYDŁA  
 WODY KOLONSKIE

WYKOPY POLSKA  
 WARSZAWA  
 WARSZAWA

Stad Główny: Plac Teatralny Nr. 11.  
 Filia: Nowy Świat Nr. 41.



Egzystująca od roku 1824.

FABRYKA

Wyrobów Platerowanych i Srebrnych 84 próby

# Józefa Praget

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.



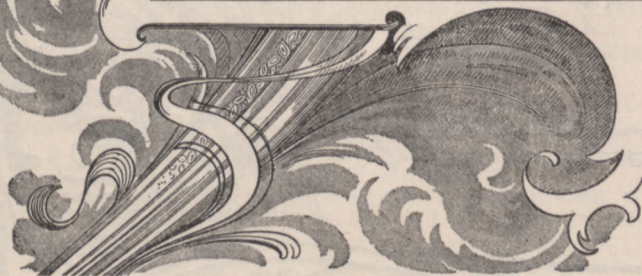
Własne **MAGAZYNY** znajdują się: \_\_\_\_\_

w **WARSZAWIE**

**Wierzbowa,**  
dom dochodowy  
Teatrów Warsz.



**Nalewki 16.**



Marszałkowska 150.

**B** OGUŚŁAW  
**HERSE**

STROJE

NOWOŚCI

SUKNIE

KOSTYUMY

OKRYCIA

FUTRA

KORONKI

WSTAŻKI

JEDWABIE

WEŁNY



# Gazeta Handlowa.

„GAZETA HANDLOWA” rozpoczynająca z dniem 1-go Stycznia 1905 r. XLII rok swego istnienia, weszła obecnie w fazę stałych reform, których część dalszą pragniemy urzeczywistnić w r. 1905. Dotychczas Gazeta powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. Gazeta wychodzi również w niedziele i święta.

Przypominamy, że „Gazeta Handlowa” uzyskała prawo

## wydawania dwóch edycji,

z czego skorzysta, gdy powodzenie pisma osiągnie tej miary, że pozwoli na taki rozwój. Nie określamy jeszcze terminu, lecz mamy nadzieję, że moment ten nie jest odległy.

„Gazeta Handlowa” znana jest w najszerszych kołach publiczności, jako organ niezbędny dla wszystkich, mających bezpośrednią, lub tylko pośrednią styczność z życiem ekonomicznym. W ostatnich czasach jedna też sobie szeroką poczytność we wszystkich kołach czytelnich, jako pismo, które obok swej specjalności handlowo-przemysłowej, pożytecznej teraz dla każdego, zawiera obfitą treść ogólną.

„Gazeta Handlowa” obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i polityce; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencje z wszystkich ognisk życia; dział literacki i artystyczny; felietony na temat spraw społecznych; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne Agencji Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości instrukcyjne (licytacje, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący za podstawę do kontraktów.

W zakresie informacji handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, „Gazeta Handlowa” jest dowodem, nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiegokolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego, *holdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom, szersze liberalnym.*

Naczelny kierunek redakcyjny „Gazety Handlowej” spoczywa w rękach St. A. Kempnera.

Stale współpracują w „Gazecie” pp.; **Kazimierz Kasperski** (sekretarz redakcji), **Bolesław Gorczyński** (dział literacki), **Feliks Jabłczyński** (Mercury) (felieton), **Jan Kindelski** (dział polityczny), **Józef Lange** (Budnik) (felieton), **Bronisława Neufeldówna** (dział zagraniczny), **Władysław Okręt** (dział artystyczny), **Stanisław Pyrowicz** (dział polityczny i ekonomiczny), **Józef Włoskiewicz** (dział sprawozdawczy i ekonomiczny), **Stanisław Zieliński** (dział sądowy).

Stałymi korespondentami Gazety są: w Łodzi p. **N-ski**; w Petersburgu p. **Władysław Żukowski** i **S. A.**; w Berlinie dr. **Szymon Rundstein**; w Wiedniu p. **Br. J.**; w Paryżu p. **Méta**; w Londynie **John** (pseudonim); w Krakowie p. **R. W.**; we Lwowie p. **Józef Borstein**.

Gazeta korzysta nadto ze współpracownictwa wszystkich prawie praktycznych ekonomistów w kraju i ma bezpośrednie stosunki informacyjne z wszystkimi instytucjami ekonomicznymi i handlowymi.

W działach ogólnych biorą jeszcze udział liczne, pierwszorzędne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Aby ułatwić zapoznanie się z Gazetą najszerszym kołom czytelników, na żądanie posyłać będziemy bezpłatnie numery okazowe każdemu, kto poda swój adres,

# „VIESSY“

(LA BALANCE),

REVUE RUSSE SCIENTIFIQUE, ARTISTIQUE, CRITIQUE  
ET BIBLIOGRAPHIQUE \* SOCIETE D'EDITIONS ARTISTI-  
QUES ET LITTERAIRES „LE SCORPION“, A MOSCOU.

Place de Théâtre, maison Métropole, 23.

Essais inédits concernant la littérature, les arts et les sciences.  
Nombreux comptes-rendus sur les livres nouveaux paraissant  
soit en langue russe, soit en toute autre langue européenne.  
Dessins originaux — noirs et en couleurs — des artistes russes  
et étrangers.

„La Balance“ paraît chaque mois en livraison d'un grand  
format de 80 pages au moins. Prix d'abonnement pour Union  
Postale 18 fr. par an.

Rédacteur en chef: Serge Poliakov.



Biblioteka Główna UMK



300047457811

Rok istnienia II-gi

# Ateneum

Pismo poświęcone literaturze i sztuce w najszerszym zakresie—obejmuje te sprawy i zagadnienia umysłowe, naukowo-filozoficzne i społeczne, które mają związek ze sferą piękna, wiążą się z twórczością ideową wogóle, zarówno polską jak wszechludzką, oraz wyższym rozwojem duchowym i kulturalnym.

wychodzi miesięcznie  
przy głównym współudziale

Cezarego Jellenty.

**Warunki prenumeraty:**

W Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
rocznie	9 rb. — kop.	rocznie	10 rb. — kop.
półrocznie	4 " 50 "	półrocznie	5 " — "
kwartalnie	2 " 25 "	kwartalnie	2 " 50 "

Cena zeszytu pojedynczego rb. 1.

**Ogłoszenia:**

**W końcu zeszytu:** cała stronica 20 rb. — kop.  
pół stronicy 12 " — "  
ćwierć " 7 " 50 "

Na początku zeszytu dwa razy drożej, na okładce trzy razy drożej.

CZCIONKAMI I TŁOZNIĄ DRUKARNI  
PIOTRA LASKAUERA I S-KI.

REDAKTOR I WYDAWCA  
EMIL WAYDEL.

**ATENEUM zamieszcza** 

---

---

Studia literackie, artystyczne i filozoficzno-estetyczne, mające za przedmiot wybitne dzieła, autorów, kierunki artystyczne i zagadnienia piękna i twórczości.

Utwory powieściowe.

Utwory dramatyczne.

Poezye prozą i wierszem.

Krytykę najświeższych publikacyj z dziedziny piśmiennictwa i umiejętności.

Kronikę i krytykę wybitnych objawów w dziedzinie muzyki, wszystkich działów sztuki plastycznej i życia artystycznego.

Przegląd i roztrząsanie spraw życia zbiorowego i duchowego, mających wyższe znaczenie społeczne i cywilizacyjne.

**W roku 1903 Ateneum drukowało między innymi prace następujących autorów polskich:** 

---

---

*Adamowicza, Arnsztajnowej, Barbanella, Breszla, Chmielowskiego, Choromańskiego, Jabłczyńskiego, Jellenty, Kisielewskiego, Kleczyńskiego, Langego, Lorentowicza, Makowskiego, Marcinowskiej, Micińskiego, Nałkowskiego, Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Pieńkowskiego, Radlińskiego, Wł. Sterlinga, Kaz. Tetmajera, Tristisa, Wodzińskiego, Wac. Wolskiego, Zarycza, Zbrowskiego, Żuławskiego.*

**Z pomiędzy autorów innych narodowości między innymi:**

*Andrejewa, Czechowa, Dehmla, Gilkina, Hofmansthala, Klingsora, Laforgue'a, Maeterlincka, Momberta, Nietzsche, Rénarda, Wilde'a.*

**Redakcja i Administracja, — Nowogrodzka 11.**